

X̄XXV

J. Piłsudski: Poprawki historyczne.

(tekst pierwotny)

J. Piłsudski - Poprawki historyczne
(tekst pierwotny).

St. 36.

amistatem, zím vyjechad z Krakova autem
p. Sokolnickim; satrymadem sie 15 listopada
na krótki čas u p. Ryszarda Kiriickiego
we Frystatie i rozmawiadem tam ~~z kiltkimi~~
~~franzuzi, przewidywacim z p. Sokolnickim,~~
~~Joliaz Mojz z nim rozmawiac~~ ~~o~~ ~~istotach~~ ~~sprawy~~ ~~które~~
mogz mié wiadok z tego, co p. Darzynski narzyna fizykalickimi
nichwataniami. (Forescia)

~~Pórnij już z sprawy POW nie wchodzić,
a pras swoje na terenie Krolestwa przesmi-
cić na alijs verbiukowas do mego
obdziału.~~

Str. 36. - Propozycja nowego przygotowany projekt.

Str. 41-43 propoz. skrócenia.

~~Str. 49 - Sprawy teści z listami do
Starba i Scholnickiego -~~

!!

~~Str. 49 - Sprawy teści z listami do
Starba i Scholnickiego -~~

Str. 50-62: preparować

- 1) dodać str. 50a (z wstępu i str. 50-51 i 55)
- 2) skrócenie / na str. 59.
- 3.) Str. 60 - upewnić się co do nazwiska
Dra Pawerowkiego

~~Str. 11 -~~

~~Str. 12 -~~

~~Str. 10 -~~

~~Str. 35 - 36~~

~~Str. 38 - 39 -~~

~~Str. 41 - 42 -~~

~~Str. 42 na stole -~~

~~Str. 43 u oknu pítanom - spravnici -~~

~~Str. 50 - prijavitel do Wara - 10. XI.
17, 55 Str.~~

~~Str. 57~~

14

~~Str. 61~~

~~Str. 63 -~~

~~Str. 65 -~~

~~Str. 71~~

13

eksp. H. Kuntz

Józef Piłsudski.

POPRAWKI HISTORYCZNE.

tekst pierwotny

Sgt.

Warszawa 1931 r.

Instytut Badania Najnowszej Historji Polski.

UWAGI DO PAMIĘTNIKÓW I. DASZYŃSKIEGO.^{1/}

I.

1/Po raz pierwszy w pamiętnikach p. Daszyńskiego nazwisko moje spotykam na str. 162 I-go tomu. Wobec tego, że nazwisko moje nie jest związane z żadnym faktem, lecz jest związane z "nienawiścią do mnie podolskiego hrabiego i jego pomocnika prof. Strońskiego w Krakowie", a ja nie jestem w stanie sprawdzić stopnia tej nienawiści, pomijam ten ustęp bez żadnego sprostowania.

2/W rozdziale, zatytułowanym "Wojna rosyjsko-japońska" na str. 214 spotykam znowu swoje nazwisko.

Pominę najzupełniej wszystko to, co jest charakterystyką moją, daną przez p. Daszyńskiego. Nie mogę bowiem odmówić komukolwiek prawa czynienia tej czy innej mojej charakterystyki, chociażby była nieściska lub wręcz fałszywa. Zaznaczam jednak, że w roku 1901 wcale nie osiedliłem się w Krakowie, jak to pisze pan Daszyński, był to bowiem okres czasu, kiedy baza P.P.S. nie została jeszcze przeniesiona do Galicji, jak tego wymagałem ciągle od swoich przyjaciół w Londynie, i dlatego w 1901 roku po krótkim pobycie we Lwowie i Zakopanem wyjechałem do Londynu.

3/Pomijając więc całą str. 215, związaną z charakterystyką mojej osoby i związaną właściwie z rozdziałem, zatytułowanym "Rewolucja w Królestwie", zatrzymam się jedynie na końcowej alinei stronicy, gdzie jest omówiony mój wyjazd do Japonji.

Przedewszystkiem data wyjazdu jest postawiona fałszywie. Działo się to bowiem nie "w zimie 1905 r.", lecz

^{1/}Ignacy Daszyński: "Pamiętniki" - tom I i II, Kraków, 1924 r. - 1926 r. nakładem Drukarni Ludowej.

w lecie 1904 roku.

Następnie cel wyjazdu jest tak śmieszny u p. Daszyńskiego, że wybuchnąłem wesołym śmiechem, gdy to przeczytałem. Mianowicie p. Daszyński każe mi jechać do Japonji, "aby ustalić jakie prace przeciwko caratowi mogą wykonać zesłańcy polityczni na Syberji".

Faktem istotnym jest, że gdzieś w maju 1904 roku zostałem zaproszony przez rząd japoński, abym przyjechał do Japonji dla rozmowy bliżej nieokreślonej w zaproszeniu. Mogłem być się zgodzić na wyjazd innych osób, lecz zdecydowałem jechać sam. Uczyniłem to dlatego, iż nie mogłem nie przypuszczać, że najprawdopodobniejszą treścią tej rozmowy byłoby udzielanie informacji o charakterze wojskowym państwu japońskiemu, i w tak drastycznej sprawie nie chciałem nikomu dać pełnomocnictwa. Państwo japońskie zwracało mi wszystkie koszty podróży. Gdym jechał, przepływając oba oceany i przejeżdżając kontynent amerykański wpoprzek, miałem dość czasu, gdyż podróż moja trwała więcej niż miesiąc, aby się namyślić nad sposobem mego zachowania się w Japonji.

Zdecydowałem odrazu, że zgodzić się mogę na zorganizowanie pracy informacyjnej tylko w tym wypadku, jeśli Japonja zgodzi się na udzielenie mnie pomocy technicznej w broni i nabojach, gdyż nie przypuszczałem, aby wypadek tak wielki, jak wojna toczona przez Rosję, mógł przejść bez śladu dla państwa rosyjskiego i nie doprowadzał nas Polaków do sytuacji, gdzie zapomocą siły dałaby się osiągnąć znaczna poprawa w losach Polski.

Zgodnie z listem rekomendacyjnym, danym mi przez posła japońskiego w Anglji, musiałem złożyć wizytę w ministerjum spraw zagranicznych w Tokio, by potem przejść do

rozmowy specjalnej z zastępcą szefa sztabu japońskiego. Rozmowa moja, gdzie od razu wysunąłem na pierwszy plan techniczną pomoc Japonji, rezultatów praktycznych nie dała, tak że jedynym rezultatem, który osiągnąłem było wydzielenie w osobną grupę jeńców wojennych Polaków, wśród których musiała być spora ilość poddających się chętnie i z ochotą, wraz z możliwością z naszej strony oddania do dyspozycji sztabu jednego z naszych ludzi, jako pośrednika pomiędzy sztabem a pomiędzy jeńcami-Polakami.

Wobec tego śmieszne twierdzenie pana Daszyńskiego o celu mojej podróży do Japonji jest zupełnie fałszywe i polega na jakiejś dziwacznej hipotezie, podanej zresztą, jako twierdzenie, gdy ja ani razu panu Daszyńskiemu nie mówiłem o mojej pracy związanej z Japonją i nigdy go nie chciałem w te sprawy wtajemniczać.

4/Na str. 224 tegoż tomu p. Daszyński w rozdziale zatytułowanym "Rewolucja w Królestwie", charakteryzując tę rewolucję jeszcze raz mówi o mnie. Przytaczam ten kawałek literalnie: "Naprawdę Piłsudski zabijał strach przed Moskwą w szeregach robotniczych, naprawdę starał się stworzyć siłę zbrojną z rewolucjonistów w formie "organizacji bojowej", naprawdę zorganizował "krwawą środę" w roku 1906 i szeregi terrorystycznych zamachów na najokrutniejszych gnębieli rosyjskich, - rewolucja nie stała się ruchem zbrojnym masy polskiej przeciw rządowi

rosyjskiemu".

Wszystkie trzy twierdzenia zrobione przez p. Daszyńskiego o mnie są fałszywymi. Po pierwsze więc nigdy nie sądziłem, by można było "stworzyć siłę zbrojną z rewolucjonistów w formie organizacji bojowej".

Po drugie: nie organizowałem "krwawej środy" w 1906 r. i byłem tej imprezie przeciwny. Po trzecie: byłem przeciwnikiem teroru personalnego i nigdy żadnego zamachu nie organizowałem. Wreszcie twierdziłem i twierdzę, że jeśli nie jedynym/bo to byłoby niesłusznym/, to jednak jednym z powodów dlaczego rewolucja nie stała się "ruchem zbrojnym" były trzy powyższe twierdzenia, przypisywane przez p. Daszyńskiego właśnie mnie.

5/Na str. 233 znajduje się ostatnia wzmianka o mnie w pierwszym tomie pamiętników p. Daszyńskiego. Wzmianka ta ma postać następującą: "Myśl walki zbrojnej z caratem nie umarła. Przechował ją i w życie wcielił Piłsudski, tworząc najpierw "Związek Walki Czynnej", a potem "Związek Strzelecki", na którym usiłowały się wzorować wszystkie organizacje zbrojne, które powstawały przed wojną światową w Galicji".

Przedewszystkiem, nie ja stworzyłem "Z w i ą z e k W a l k i C z y n n e j", gdyż został on stworzony przez gen. Sosnkowskiego, w czasie, gdy ja kilka długich miesięcy spędziłem nie

w Galicji, a w zaborze rosyjskim; przyczem zarówno forma nadana organizacji, jak i program kształcenia, zawierał zdaniem mojem dużo błędów, tak że miałem potem dużo kłopotu i musiałem dużo wysiłku uczynić, aby te błędy usunąć. Następnie "Z w i ą-
z e k s t r z e l e c k i" była to organizacja najzupełniej legalna, oparta na ustawach ogólnoaustriackich, które dozwalały naukę strzelania z wojskowych karabinów, z możliwością otrzymania tych karabinów z wojska; - jednym słowem organizacja podobna do tej, jaką mamy obecnie w Polsce w postaci Przysposobienia Wojskowego. Istotnie popchnąłem wszystkich swoich zwolenników na tę ułatwioną, bo legalną formę pracy wojskowej po naradzie z oficerami sztabu generalnego austriackiego, z którymi w owym czasie byłem w kontakcie.

II.

6/Na str.35 II-go tomu jest wspomniane moje nazwisko w związku z napadem na pociąg na stacji Bezdany. P. Daszyński pisze, ^{osobie} ~~że~~ "część wywłaszczonych pieniędzy rosyjskich próbował ^{em} zmienić w Europie zachodniej przez przeróżne pośredniczące osoby". Wobec tego, że wszystkie te pieniądze przechodziły przez moje ręce, ja zaś do p. Daszyńskiego nie zwracałem się ani razu w poruszonej przez niego sprawie, wątpię mocno, aby to twierdzenie p. Daszyńskiego było prawdą.

7/Na str. od 41 do 45 włącznie opisywana

jest "potężna rola historyczna Józefa Piłsudskiego, który dał obozowi niepodległościowemu odpowiedź na pytanie, co Polacy mają robić w ewentualnej wojnie Austrii z Rosją". Z wielką trudnością poznaję siebie w tych opisach i dlatego nie podejmę się nigdy sprostowania nieścisłych i zatem bardzo jednostronnych sądów p. Daszyńskiego o mojej "potężnej roli historycznej". Ograniczę się jedynie do kilku sprostowań.

Po pierwsze więc p. Daszyński raz jeszcze na str. 42 mówi o "Z w i ą z k u W a l k i C z y n n e j" i przytacza kilka wyjątków z jego regulaminu. Stwierdzam więc, że te wyjątki nie były przeze mnie pisane i właśnie w tych wyjątkach są te ustępy, które jak mówiłem wyżej, robiły mnie przez wiele czasu dużo kłopotu i zmuszały do ich usunięcia, zapomocą wielkich i długotrwałych wysiłków.

Następnie zaznaczyć muszę, że do bojówki P.P.S. nie należałem aż do 1914 roku - jak to mylnie twierdzi p. Daszyński - lecz usunąłem się z jej szeregów znacznie wcześniej.

Nareszcie na str. 45 p. Daszyński pisze o Z.W.C., że "w razie konfliktu posłowie socjalistyczni mieli obowiązek bronięcia Z.W.C., i jego bezpieczeństwa". Zaznaczę, że ja osobiście jako główny dowódca Z.W.C. ani razu nie zwracałem się ani do p. Daszyńskiego, ani do któregośkolwiek z posłów socjalistycznych z propozycją, czy też

prośbą o taką obronę, i nie przypominam sobie ani razu takiego wypadku, aby taka obrona była przez posłów socjalistycznych wnoszona. Osobiście aż do 1914 roku opierałem całe zabezpieczenie mojej pracy wojskowej w Galicji na kontakcie jaki miałem w owe czasy z kilku oficerami austriackiego sztabu generalnego. Uważałbym zaś wszelką domieszkę do tego zabezpieczenia krzykliwych i zwykle przesadnych wystąpień posłów socjalistycznych, mających charakter wybitnie antimilitarny nie za zwiększenie, lecz za wybitne zmniejszenie tegoż zabezpieczenia.

8/Na str. 95 p. Daszyński pisze o tem, że "Piłsudski wszedł w owym czasie w styczność z sztabem generalnym Austro-Węgier i miewał konferencje z wojskowymi austriackimi we Lwowie i Przemyślu. Uznał za potrzebne wtajemniczać mnie stale w treść tych rozmów". O ile pierwsza część jest prawdą, chociaż nie ścisłą, o tyle ostatni frazes jest zupełnie fałszywy, gdyż ani razu z p. Daszyńskim w tej kwestji nie rozmawiałem, nie uważając dla siebie ~~nie~~ za możliwe wtajemniczać jego w te sprawy. Przedewszystkiem związany byłem obustronną wymianą słowa honoru, że się nazewnątrz nikomu o tych rozmowach nie mówi, a niezwykle łamać kiedykolwiek słowa honoru. Obok tego p. Daszyński byłby w moich oczach ostatnim, z którym bym o tem mógł mówić, gdyż znając egotyczny charakter p. Daszyńskiego nie wierzyłem nigdy, aby tajemnica innego człowie-

ka dla niego kiedykolwiek coś znaczyła.

9/. Doprawdy niebardzo rozumiem dlaczego p. Daszyński tak "stale i wiernie" doczepia moje nazwisko czy do swoich przemówień, czy do swojej pracy w Galicji. Tym razem na str. 97 doczepione jest również nazwisko p. Moraczewskiego, gdyż obaj ci panowie "stale i wiernie popierali każde zamierzenie Piłsudskiego i /horribele dictu/ jego strzelców", czem "tkumili głosy krytyki pacyfistycznej w naszych szeregach". Nie chcę temu zaprzeczać, lecz odniosę cały ten ustęp związany z mojem nazwiskiem do zwykłych w pamiętnikach pana Daszyńskiego nadużyć stylowych.

10/. Na str. 102 nazwisko moje wspomniane jest w związku z wystąpieniem p. Daszyńskiego z krytyką reformy wojskowej w Austrii i z jego żądaniami "w duchu demokracji i najnowszych doświadczeń na polach Mandżurji". Przyczem „wszystkie dane z tej wojny” otrzymał p. Daszyński ode mnie. Gdy czytam następną prawie całą str. 103, zajmującą ową krytykę i owe żądania, stanowczo stwierdzam, że z tą krytyką i żądaniami nic a nic nie mam wspólnego i że śmieszne nieraz i dowodzące absolutnej nieznamomości organizacji wojska twierdzenia p. Daszyńskiego nie są moje, lecz własne p. Daszyńskiego. Faktem zaś jest, że nieraz nietylko p. Daszyńskiemu lecz dziesiątku innych panów często opowiadałem różne anegdoty wojenne z wojny mandżurskiej, którą istotnie studjowałem zacięcie i stale. Dodam, że o zamia-

rze p. Daszyńskiego wystąpienia z krytyką i żądania-
niami w sprawie reformy wojskowej w Austrii nie
nie wiedziałem, a zatem z formą w jaką to on ubie-
rał w parlamencie austriackim nie a nie wspólne-
go nie miałem.

Przypominam sobie w podobnej sprawie je-
szcze jeden fakt związany z pewną rozmową, zaczę-
tą przez p. Daszyńskiego. Nie mogę odnieść tej
rozmowy do jakiegoś określonego czasu, lecz
w każdym razie w rozmowie tej ani razu nie było
mowy o wystąpieniu p. Daszyńskiego w sprawie re-
formy wojskowej. Mianowicie pewnego razu zwrócił
się do mnie p. Daszyński z prośbą bym zechciał
dopomóc p. Libermanowi w jego pracy w komisji
wojskowej w parlamencie austriackim. Gdym wyra-
ził swe zdziwienie, że właśnie p. Liberman został
wysłany do komisji wojskowej, tłumaczył mi p. Da-
szyński ten fakt tem, że p. Liberman był posłem
z Przemyśla, jednej z największych fortec austr-
jackich i że w ten sposób może potrafi uzyskać
lepsze warunki dla swojej pracy w Przemyślu, niż
to było dotychczas. Wymawiałem się bardzo usilnie
od tego rodzaju propozycji, twierdząc, że bez ja-
kichkolwiek materiałów i bez oznaczenia celu
nie mógł bym cokolwiek bądź pomóc p. Libermanowi.
Gdy jednak p. Daszyński nastawał coraz usilniej
rozpoczynając rozmowę po kilka razy, zdecydowa-
łem na odczepnego dać krótką zapiskę o znacze-
niu dobrego wykształcenia rezerwowych oficerów
i wogóle rezerwistów, gdyż z nich właściwie skła-

dać się musi nowoczesna armja, gdy jest zmobilizowana. Tak też i uczynikiem, starając się najusilniej, aby ani jedno słowo nie było pisane mojem pismem, tak abym mógł zawsze się wyprzeć wszelkiego udziału w pracy p. Libermana w komisji wojskowej wiedeńskiego parlamentu.

11/. Na str. 109 nazwisko moje wspomniane jest w związku ze zjazdem partyjnym niemieckiej socjalnej demokracji w Austrii. O ile prawdą jest, że ulegając bardzo silnym namowom niektórych moich znajomych Polaków byłem na tym zjeździe nie długą chwilę, to znowu absolutną nieprawdą jest fakt przytoczony przez p. Daszyńskiego, abym witał ten zjazd imieniem P.P.S. Dlatego też całe przemówienie przytoczone przez p. Daszyńskiego nie mnie się tyczy i nie ze mną jest związane.

12/. Na str. 114 p. Daszyński wspomina moje nazwisko w związku z całym szeregiem różnych organizacji o charakterze wojskowym które rozwinęły się w bardzo silnym stopniu w Galicji pod wpływem wojny bałkańskiej. Cała charakterystyka poszczególnych organizacji nie należy do mnie, lecz do p. Daszyńskiego.

13/. Od str. 116 idzie cały szereg stronice, gdzie nazwisko moje wspomniane jest prawie na każdej stronicy w związku z utworzeniem i pracą znanej w historii ostatnich lat przed wojną światową "Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych". Historia tej

organizacji przedstawiona jest przez p. Daszyńskiego dosyć fałszywie. Istotnie rzecz się miała jak następuje. W drugiej połowie 1912 roku Austrija widząc nadzwyczaj usilne przygotowania do wojny czynione przez Rosję zdecydowała przerwać te przygotowania zapomocą odpowiedniego, prawie wojennego nacisku na Rosję. Tak przynajmniej twierdzili mnie panowie z generalnego sztabu, z którymi miałem kontakt, którzy uprzedzając wypadki, zaczęli omawiać ze mną zupełnie już praktycznie sprawę mego wystąpienia wspólnie z armją austriacką. Dodam odrazu, że warunki do których w owe czasy się dogadałem ^{były} (co)najmniej dziesięć razy lepsze, niż te z którymi miałem do czynienia w lipcu 1914 roku. Zmuszony więc byłem do praktycznego podliczenia swoich własnych sił i wszystkich moich możliwości. Wobec tego, że w stawianych mi warunkach sprawy polityczne nie odgrywały żadnej roli i były one zatem pozostawione mnie samemu, uznałem odrazu, że występować jedynie w swoim imieniu nie będę w stanie, a więc muszę się starać o to, aby wytworzyć, lub zorganizować chociażby pozorną bazę polityczną, na którą mógłbym niejako zrzucić odpowiedzialność za moje kroki tak, aby ta odpowiedzialność nie spoczywała jedynie na moich barkach. Unikałem zaś przedewszystkiem wyłączności socjalistycznej, jako rzeczy, która raczej szkodzić, niż pomócby mi mogła. Wobec tego, że samo organizo-

wanie jakiegokolwiek centrum poprzedzić musiały bardzo liczne i bardzo przykre nieraz rozmowy, brałem do pomocy dla tych spraw zwykle p. Walerego Sławka i p. Michała Sokolnickiego, odkładając rozmowę o tej sprawie z p. Witoldem Jodką, ówczesnym głównym przedstawicielem P.P.S. na sam ostatek, gdyż obawiałem się olbrzymio jego namiętnej pracy dominowania nad wszystkimi innymi z chęcią upieczenia chociażby małej pieczeni partyjnej. Co się tyczy partji P.P.S.D. z p. Daszyńskim na czele, nie wchodziła ona całkiem w pierwszych moich krokach w obliczenie, głównie ze względu na osobę p. Daszyńskiego którego niesmaczny, stale mentorski i głupio guwernerski ton mógł mi w pierwszych krokach zepsuć wszystko com rozpoczął. Ustąpiłem pod tym względem bardzo usilnym namowom p. Witolda Jodki i jeszcze usilniejszym i nieraz zabawnym prośbom p. Hipolita Sliwińskiego. Było mi wtedy bardzo obojętnem kto i w jakim celu wszedłby do takiej rozszerzonej odpowiedzialności - wiedziałem bowiem dobrze, że cała praca z chwilą wybuchu wojny spadłaby tylko na mnie, i że nie dałbym nigdy nikomu prawa skrepowania mnie czemkolwiek.

Zaostrzenia o charakterze wojennym przeciągały się aż do początku 1913 roku. Były gdzieś w okolicy Bożego Narodzenia momenty tak ostre, że ze sztabu pierwszego korpusu austriackiego w Krakowie, zawiadomiono mnie, abym przez najbliższe dni nie wychodził z domu, gdyż każdej chwili

można oczekiwać rozkazu rozpoczęcia przygotowań do mobilizacji i wtedy, zgodnie z umową, miałbym prawo rozpocząć zwiezenie wszystkich gniazd strzeleckich do umówionego miejsca w Wadowicach. Zaostrzenie to minęło, jak mnie opowiadali oficerowie austriacy, w sposób niezwykle zabawny. Mianowicie, główną przeszkodą w postawieniu ultimatum Rosji był stary cesarz Franciszek Józef. Dla podniecenia starego monarchy zdecydowano, że wszyscy dowódcy korpusów austriackich po kolei mieli się zameldować u cesarza, zgłaszając, że korpus taki i taki gotów jest na wszystkie ewentualności. Jakoby cesarz wysłuchiwał spokojnie tych raportów i na ostatku jako swój wywód powiedział, że on to już raz w życiu słyszał od znane go generała Benedeka, który przegrał wojnę z Prusami 1866 roku w znanej bitwie pod Sadową. Cesarz wtedy postanowił raz jeszcze przemówić jako dynasta do dynasty i wysłał do cesarza Mikołaja II w specjalnej misji ks. Lichtensztejna. O ile ta historia jest prawdziwa w szczegółach nie wiem, lecz opowiadali mnie ją z dokładnością moi znajomi oficerowie sztabu austriackiego.

Pamiętam dobrze, że czekając w owe ostre dni na zawiadomienie o możliwości rozpoczęcia mobilizacji z mojej strony, liczyłem ciągle całą kasę, którą miałem w kieszeni. Liczyła ona równo 340 koron, co konstatowałem z niezwykle smutnym i gorzkim uśmiechem. Dlatego też rozpocząłem zaraz starania o to, aby przynajmniej na przy-

szłość nie być w podobnie bezradnej sytuacji. Dało to początek instytucji zwanej "Polski Skarb Woj-skowy", przy której najczynniejszymi byli znowu p. Walery Sławek i p. M. Sokolnicki.

Gdy więc historia istotna wygląda w ten sposób jak to przedstawiłem, to w pamiętnikach p. Daszyńskiego ta historia unika najstaranniejszej pracy w owe czasy decydującej, t. zn. stosunków austriacko-rosyjskich, zatrzymując się jedynie na przypadkowych rzeczach, związanych z osobą p. Daszyńskiego. A wtedy moja osoba i moje nazwisko, wtykane przez p. Daszyńskiego to tu, to ówdzie bez żadnego systemu, wyglądać musi niezwykle zabawnie i całkiem nieodpowiednio do istotnego stanu rzeczy i do istotnej mojej pracy.

14/. Od str. 126 nazwisko moje spotyka się coraz rzadziej i wspomniane jest właściwie w jednym tylko wypadku, gdzie "z wojskiem nie było wszystko w porządku". W tej części ostatniej rozdziału XXIII p. Daszyński przechodzi do roku 1913, kiedy jak pisze bezpośrednia groza wojny minęła, a zarazem do roku ostatniego, gdy pokój panował jeszcze na świecie. Pomimo, że te dwa lata 1912 i 1913 tak zasadniczo były inne w historii naszej, u p. Daszyńskiego te dwa lata są pomieszane pomiędzy sobą w jakąś dziwną kaszę, w której rzeczy związane z rokiem 1913, kiedy groza wojny minęła, są wplecione do tego czasu kiedy groza wojny dochodziła do najwyższego napięcia. Z tego też powodu nadzwyczajnie trudnym

jest dla każdego szukającego prawdy orjentować się w tak dziwacznej historji, z niezwykłą plątaniną czasu wypadków i ludzi, podlewanej wszędzie niesmacznym sosem partyjnictwa i egotycznego ujmowania najdrobniejszej nawet rzeczy.

Istotnie zaś rok 1913 dał w rezultacie niezwykły rozwój organizacji o charakterze wojskowym, tak że liczba tych organizacji nie pozwalała już na sąd, że było ich tylko dwie, mianowicie "Związki Strzeleckie" i "Drużyny Strzeleckie" i jeżeli nowy pogląd taki był z gruntu fałszywy, gdyż tylko te dwie organizacje prowadziły systematyczne szkolenie swoich członków w zawodzie wojskowym, to jednak krzykactwa partyjne wszelkiego gatunku, ze zdziwczalymi formami prasy i przemówień galicyjskich, czyniły zawsze z zera miliony a z setek i tysięcy zero. Nie przeszkodziło to jednak, że w roku 1914, czyli przy istotnym wybuchu wojny, kalkulacja zrobiona przez sztab austriacki poszła daleko w kierunku ujmowania sprawy na sposób galicyjskiego krzykactwa tak, że warunki mnie podyktowane były dziesięć razy gorsze, niż te które miałem w 1912 roku.

Z przedstawienia rzeczy przez p. Daszyńskiego, który magna pars fuit tegoż galicyjskiego krzykactwa, nie można nic innego wyciągnąć, jak tylko tę istotną rzeczywistość, że p. Daszyński stał bardzo i bardzo daleko od tych prac, które były przeze mnie prowadzone i które tak silnie zaważyły na szali dziejów naszego

narodu. Dlatego też, nie prostując słów p. Daszyńskiego o mnie, zakończę swoją pracę w stosunku do rozdziału XXIII-go.

15/. Gdy wezmę rozdział XV nazwisko moje, oraz moje czynności spotykają się raz po raz i nie w tem dziwnego, gdyż mowa tam o mobilizacji Strzelców i o dniu 6 Sierpnia 1914-go roku.

Rozdział ten, wbrew dotychczasowej metodzie, przeczytałem od deski do deski, stronica za stronicą, tyle tam jest błędów historycznych i tyle nieścisłości w datach i tyle fałszywych oświeleń mojej pracy, że właściwie musiałbym napisać cały inny rozdział, aby ułożyć należyte sprostowanie błędów p. Daszyńskiego co do mojej pracy i mojej osoby. Naturalnie p. Daszyński nie będąc wtajemniczany przeze mnie nigdy w stosunki moje ze sztabem austriackim, który był w tej chwili dominującym czynnikiem w całej Austrii, a więc i w Galicji nie mógł zdać sobie najmniejszej sprawy ani z mojej sytuacji, ani też z moich czynności i zapewne stąd pochodzą dziecinne sądy p. Daszyńskiego i dziecinne śmieszne jego wyobrażenia o wypadkach, których był świadkiem. Co do mnie przypominam dokładnie moje wrażenie, które miałem z powodu p. Daszyńskiego w tych chwilach, które uważam dla siebie za najcięższe. P. Daszyński zaskoczony ogromem wypadków zmalał tak widocznie, i tak nie wiedział co czynić, że stracił zwykły swój tupet, nieznośną chęć swoją do wywyższania siebie, do mentorowania i zatracając wyraźnie swój niesmaczny ton.

W pamiętnikach swoich jednak p. Daszyński olbrzymio staje się podobnym do siebie Dlatego też, nie chcąc pisać innego rozdziału o mobilizacji strzelców i dniu 6 Sierpnia 1914 roku, zatrzymam się jedynie na sprostowaniu paru faktów, fałszywie przez p. Daszyńskiego przedstawionych.

Na str. 158 p. Daszyński pisze: "Ponieważ ^{K.S.S.M.} ~~"Komisja skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych"~~ powzięła uchwałę, żeby wojsko strzeleckie wkroczyło w granice caratu po wypowiedzeniu wojny przez Austrię, a głównie dlatego, że było bardzo mało czasu dla przygotowania wymarszu Strzelców, ociągnął się ten wymarsz aż do 6 sierpnia." No, kto może takie śmieszne rzeczy pisać, jak nie p. Daszyński. Stwierdzam więc, że przez cały czas moich przygotowań do wymarszu, ani jednej chwili nie myślałem o jakiegokolwiek uchwale tej Komisji; składała się ona bowiem z ludzi tak samo zatraconych i tak samo nie wiedzących co czynić, jak p. Daszyński. Natomiast istotnym powodem daty 6 sierpnia był fakt, że do 6-go sierpnia nie miałem pozwolenia sztabu austriackiego do przekroczenia granic państwa rosyjskiego. Dozwolono jedynie na przekroczenie granicy małym tylko grupkom, nie przekraczającym dziesięciu ludzi. Wykorzystałem zaś ten fakt, wysyłając już 2-go sierpnia siedmiu ludzi konnych, mianowicie pierwszy patrol Beliny.

Następnie sprostować muszę daty p. Daszyńskiego o konferencji, która się odbyła u Pana

Dr. Lea prezydenta Krakowa i prezesa Koła Polskiego w Wiedniu. Wbrew temu, co p. Daszyński pisze, inicjatorem tej konferencji był nie p. Daszyński, ale ja.

Przedewszystkiem parę słów co do daty tej konferencji. Ściśle tej daty nie pamiętam, lecz zestawiając wszystkie zdarzenia w owym czasie, byłbym pewniejszym siebie, gdybym cofnął datę 4 sierpnia podaną przez p. Daszyńskiego o parę dni wstecz. Następnie z pewnością stwierdzić mogę, że o „przedłożeniu projektu „wzięcia udziału w różnych stronnictw w pracach ^{„K.S.S.M.”} ~~„Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych”~~ ja nie tylko nie wiedziałem, ale i nie mógłbym być na takiej konferencji z takim celem zwoływanej, gdy jak pisze p. Daszyński, 3 sierpnia usunąłem się z tej Komisji. Istotna historia tej konferencji jest następująca.

Rozmowa moja z przedstawicielem austriackiego sztabu generalnego, gdzie warunki wystąpienia mojego zostały znacznie pogorszone, zmusiła mnie do wzięcia paru dni namysłu na odpowiedź. Wrażenie moje z tej rozmowy, które odniosłem, polegało na tem, że rok 1913 nie darmo minął nie tylko dla Galicji, ale i dla sztabu austriackiego.

Rozwój organizacyj wojskowych w Galicji i krzykactwo wszelkiego rodzaju partyjników galicyjskich, uczyniło najwidoczniej kalkulację sztabu inną, niż była ona w 1912-tym roku. Zaczęto widocznie liczyć się bardziej z galicyjskim spo-

sobem widzenia, niż z możliwościami, które spotkać można było w zaborze rosyjskim. Dlatego też, dla poprawy tych ciężkich dla mnie warunków, myślałem poszukiwać chociażby pozornej i chociażby chwilowej pomocy i oparcia w galicyjskich, tak zwanych mężach stanu. Najlepszym mi się wydawał do tego p. Leo, jako demokratą nie zarażony chęcią supremacji i panowania nad wszystkim. A że go nie znałem, zwróciłem się do p. Daszyńskiego z prośbą, by mi ułatwił porozumienie się z p. Leo. Nie dało mi to nic pozytywnego, gdyż minęło kilka dni, nim zostałem do pana Leo zaproszony, a termin, prawie ultimatywny, dany mi przez sztab austriacki, mijał tak że musiałem się zgodzić na ciężkie warunki, a na ową konferencję poszedłem już po umowie ze sztabem austriackim.

Gdy do gabinetu pana Leo zostałem z p. Daszyńskim wprowadzony, znalazłem tam czterech panów, z których pamiętam trzech. Jeden był pan Leo drugim był pan Jaworski, trzecim pan Dwernicki, co do czwartego nie jestem zupełnie pewien. Zdumiony tem zebraniem osób, których nie znałem, zdecydowałem odrazu mieć się na baczności i z żadną inicjatywą nie występować.

Pierwszy zagaikł zebranie p. Leo, twierdząc, że on, jako prezes Koła Polskiego, chciałby przed zebraniem Koła Polskiego, które musi nastąpić, ułatwić wszystkie możliwe porozumienia się pomiędzy ludźmi; i czyniąc gest ręką w kierunku p. Daszyńskiego, stwierdził tem, że oczekuje od p. Da-

szyńskiego, który nie wchodził do Koła Polskiego, jakiegoś dania przykładu. Następnie mówił p. Daszyński. Przemówienie jego pamiętam doskonale i stwierdzam raz jeszcze, że ani jednym półsłowem nie zaczepił Komisji Niepodległościowej, ani nikomu nie proponował wzięcia udziału w jej pracach, ani też stawiał jakiegokolwiek wniosku o jakimkolwiek rządzie, "który byłby politycznym zastępstwem polskiej siły zbrojnej". Zaczął p. Daszyński od stwierdzenia grozy sytuacji Polaków, którzy zmuszeni będą do strzelania do siebie i do niszczenia siebie wzajemnie, gdy wojna austro-rosyjska wybuchnie - wojna bowiem pomiędzy temi obu państwami nie była jeszcze ogłoszona.

Opisując wszystkie okropności tej sytuacji Polski, zaczął także twierdzić, że wobec zamknięcia zakładów przemysłowych w zaborze rosyjskim, mogą nastąpić tam akcje rabunków i akty gwałtów, gdy przy ucisku rosyjskim, ludność tamieczna nie jest dostatecznie zorganizowana; nawoływał zaś do konieczności pomyślenia o tej sytuacji i o wymyślenie jakichś środków zapobiegawczych. Pamiętam dokładnie moje niesmaczne wrażenie z jego przemówienia, nie mówiłem sam zaś dotąd nic, oczekując wciąż jak mi się zarekomendują inni panowie, którzy tam byli zebrani.

Zaczął znowu pan Leo, który z miną nieco zawiedzioną i niechętną, twierdził, że na tak szerokie wymagania odpowiedzieć sam nie może i że może odpowiedzieć po zebraniu Koła Polskiego, które niechybnie jakąś decyzję poweźmie i po porozumieniu

się z rządem austriackim będzie w stanie rozpocząć jakąś pracę. Mówił jeszcze pan Dwernicki, uznając także konieczność zwołania Koła Polskiego.

Czułem, że wszyscy patrzą na mnie, jako na osobę na owe czasy nadzwyczaj ciekawą, oczekując ode mnie prawdopodobnie rewelacji, związanej z umową moją ze sztabem austriackim.

Nie mogłem również nie widzieć i nie odczuwać, że ci panowie nie zdają sobie najzupełniej sprawy z żelaznych praw wojny, z całej potęgi jej techniki i wyobrażają sobie, że Koło Polskie mieć będzie cały czas te same przywileje, jakie miało podczas pokoju i że spokojnie będą mogli się zjeżdżać, wysyłać depesze, rozmawiać telefonicznie i obradować całymi miesiącami.

Moje przemówienie jest streszczone u pana Daszyńskiego względnie przyzwoicie. Konferencja ta zakończyła się twierdzeniem p. Leo, że życzyłby sobie, żeby ją można było powtórzyć.

Jasnym więc jest, że konferencja u Dr. Lea z moim udziałem nie miała na celu jak pisze p. Daszyński "przedłożenia mu projektu „wzięcia udziału różnych stronnictw w pracach K.S.S.N. i wstąpienia ich ewentualnie do mającego się utworzyć rządu, który byłby politycznym zastępstwem polskiej siły zbrojnej". Wobec tego, że p. Daszyński wylicza cały szereg osób, które były na opisywanej przez niego konferencji, być może że splątał on kilka konferencji razem ze sobą,

w każdym jednak razie ja na konferencji żadnej nie byłem na którejby pan Daszyński przedkładał p.Leo projekt poprzednio wzięty w cudzysłów.

Wreszcie słów parę o mojem oświadczeniu dla K.S.S.N. P.Daszyński mówi o tem na str.158 o konferencji zaś z p.Leo na str.160,chronologicznie zaś było to akurat odwrotnie: konferencja z p. Leo była przedtem,następnie zaś w dobre kilka dni rozmawiałem z K.S.S.N. Główną przyczyną dla czego tę rozmowę odkładałem było nie co innego, jak fakt, że D r u ż y n y S t r z e l e c k i e bardzo długo się wahały czy mają iść ze mną razem, czy też zajmą wyczekujące stanowisko.Nie mogłem więc zwoływać całej Komisji,gdy nie byłem pewien,jak zebranie się ułoży.

Drugim zaś powodem był fakt, że wszystkie umowy, które sztab austriacki chciał zawierać były warażnie umowami z moją jedynie osobą, z nie- możliwością dopuszczenia do tego kogokolwiek innego. Zajęty więc byłem parę dni obmyślaniem politycznej barwy z którą mogę wystąpić. Zatrzyma- łem się wreszcie na jedynym możliwym projekcie spróbowania przynajmniej na czas pewien posta- wienia siebie w zależność od nieistniejącego wcale tajnego Rządu Narodowego w Warszawie.Gdy przebiegałem listę osób,które mógłbym do tego celu użyć zrzekałem się odrazu myśli i próby urzeczywistniania tego projektu,gdyż miałbym zawsze do czynienia z ludźmi tak dalece wahają- cymi się i tracącymi głowę w każdej okoliczno-

ści, że właściwie musiałbym robić wszystko za nich, kierując nimi prawdopodobnie w najdrobniejszej nawet rzeczy.

Dlatego też wolałem tajną i daleką od Krakowa fikcję, niż cokolwiek innego. Od tego też czasu datuje się moja długoletnia samotność, która mi się tak dała we znaki w moim życiu.

Na zakończenie omawiania rozdziału XXV, skłóć kilka o dniu 13 sierpnia, gdzie p. Daszyński stwierdza, że mu wtedy powiedziałem o wymaganiach, by Strzelcy włożyli czarno-żółte opaski i dodałem znane mi dobrze określenie, że "nie pozostaje mi nic innego, jak sobie w łeb strzelić".

Stwierdzam więc, że dnia tego nie mogłem mówić o tych wymaganiach, gdyż tych wymagań wtedy mi nie stawiano, natomiast moje słowa słusznie przez p. Daszyńskiego przytoczone, dotyczą się czego innego, a nie tego śmiesznego wymagania.

16/. W stosunku do rozdziału XXVI nie mogę nie zastosować tej samej metody, co do poprzedniego rozdziału. P. Daszyński bowiem raz po raz popełnia tyle nadużyć stylowych związanych z moim nazwiskiem, a dotyczy się ten rozdział tak ważnej części mojej pracy, że musiałbym pisać inny cały rozdział, niż ten który napisany jest przez p. Daszyńskiego. Unikając więc tego, zatrzymać się mogę jedynie na kilku ważniejszych częściach tego rozdziału, które chcę sprostować.

Przedewszystkiem zaznaczę, że cały ten okres czasu, który jest wzięty jako treść tego rozdziału

zu, spędziłem nie w Krakowie, lecz na froncie w okolicy Kielc i w Kielcach samych. Dlatego też zarówno przemiana Koła Polskiego w Wiedniu na Naczelny Komitet Narodowy/N.K.N./ jak i jego pierwsze czynności nie odbywały się przy mnie, ani też z jakimkolwiek moim udziałem. Dlatego też prawdopodobnie przy udziale pana Daszyńskiego, została jakoby powzięta uchwała połączonych K.S.S.N. z Centralnym Komitetem Narodowym we Lwowie. Uchwała ta przytoczona na str. 169-170 nie była mi nigdy ogłaszana, ani też o istnieniu jej nie wiedziałem, dopóki nie przeczytałem jej na stronicach pamiętnika p. Daszyńskiego, dlatego też żadnym motywem mojego postępowania ona nie była.

Zaznaczyć też muszę, że kiedy przyjechałem na pół dnia do Krakowa, zastałem Naczelny Komitet Narodowy już sformowany wyraźnie i wyłącznie z posłów galicyjskich do parlamentu wiedeńskiego i nie bez zadowolenia skonstatowałem, że p. Daszyński z socjalistami wszedł do tegoż Naczelnego Komitetu, jak i do zebrania posłów galicyjskich, jako integralna składowa część.

Nie mogę nie powiedzieć, że gdy w poprzednim rozdziale pan Piłsudski musiał od pana Daszyńskiego w pamiętnikach wysłuchać dużo gorzkich uwag za opuszczenie K.S.S.N., to w niniejszym rozdziale autor pamiętników przechodzi z niezwykłą łatwością do porządku dziennego nad takimże postępkami pana Daszyńskiego. Ani jednej gorzkiej

uwagi, pomimo że wszedł do Koła Polskiego, które stale i namiętnie oskarżał, i namiętnie obalał poprzednio.

Co do mnie, wszedłem odrazu w pertraktacje z prezesem Koła Polskiego i Naczelnego Komitetu Narodowego, p.Leo. Z pamiętników p.Daszyńskiego wnoszę, że p.Leo nie zechciał nigdy komunikować p.Daszyńskiemu o treści tych pertraktacyj, chociaż powoływał nieraz do wspólnej rozmowy ze mną, pana Jaworskiego.

Pertraktacje z p.Leo tyczyły się głównie ulepszenia uzbrojenia mego oddziału w polu i uregulowania stosunków pomiędzy mną a austriackim wojskiem; p.Leo najczęściej miał wtedy przy sobie jakiegoś kapitana Czecha nie należącego nawet do sztabu generalnego, który jakimś mentor-skim tonem pouczał p.Leo, prezesa Koła Polskiego i Prezesa Naczelnego Komitetu Narodowego, swoich czy czyichś poglądów na każdą sprawę. Pouczał zawsze w niemieckim języku, chociaż po polsku wiodocznie rozumiał, gdyż ja w rozmowie nie użyłem ani razu słowa niemieckiego. Wyznaję, że ten obrazek zawsze mi stoi w pamięci i zawsze go zestawiałem z nadętą figurą p.Lea przy pierwszej konferencji przed moim wymarszem z Krakowa.

Nie wchodząc jednak w żadne głębsze analizy zdecydowałem odrazu zrobić akces do tego pierwszego politycznego przejawu o charakterze czysto polskim, który jednak szedł w kierunku zbrojnego wystąpienia polskiego w tym czasie, gdy wszyscy na szalę wypadków rzucali miecze. Teraz, gdy tyle

lat minęło od tej chwili, nieraz zastanawiam się nad tem, czym dobrze postąpił czyniąc to właśnie tak szybko. I nieraz wydaje mi się, że mogłem znacznie dłużej przeciągnąć moją absolutną niezależność, wykorzystując znacznie dłużej stworzoną przeze mnie fikcję Rządu Narodowego.

Główny zawód jaki mnie po przystąpieniu do N.K.N. spotkał, tyczył się nie czego innego, jak stosunków z armją austriacką. Przedewszystkiem słów parę o tych stosunkach. Ten oficer, który w imieniu sztabu zawierał ze mną pierwszą umowę przeznaczony na wypadek wojny do sztabu jednej z armij idącej w pole, najzupełnie lojalnie o tem mnie uprzedził, i dał mi nazwisko innego oficera, który miał się zgłosić sam do mnie, gdyż ja także odchodziłem w pole. Tak się też i stało, i to zaraz po moim pierwszym marszu do Kielc. Depeszę od niego wręczył mi motocyklista austriacki zaraz po zajęciu przeze mnie dworca kieleckiego. Depesza zawierała prośbę, żebym tegoż dnia wieczorem był w Krakowie, żeby się z nim zobaczyć.

Istotnie odjechawszy autem z Kielc spotkałem się z nim w jednej z kawiarni krakowskich na dość długiej rozmowie. Ten pan podpułkownik powiedział mi, że stosunki się nieco zmieniły, jak powiedział na lepsze, gdyż prawdopodobnie da się utworzyć z części posłów wiedeńskich coś w rodzaju organizacji politycznej, do której sądzi, że najlepiej mnie przystąpić, obawia się on bowiem, że w przeciwnym razie mógłbym mieć dużo

kłopotów i oddział mój mógłby być narażony na najrozmaitsze przykrości, tak że nie mógłbym osiągnąć swoich zamiarów. Gdym stwierdził, że nie jestem w stanie dać jakiegokolwiek odpowiedzi, nim nie jestem dokładnie poinformowany o składzie personalnym tej zamierzonej instytucji, zakończył ze mną rozmowę, prosząc bym jeszcze raz się z nim zobaczył, tym razem w Pińczowie, dokąd w tych dniach musi wyjechać.

Kiedym w parę dni potem po kilku potyczkach z moskalami w okolicach Kielc już miał nieco spokoju z frontem, udałem się do Pińczowa, gdzie ku wielkiemu memu zdziwieniu dowiedziałem się, że ten podpułkownik razem ze sztabem tak zwanej grupy gen. Kummera opuścił Pińczów w niedającym się określić kierunku. W ten sposób urwała mi się nagle wszelka nić konsekwentnego związku mego ze sztabem, z którym jednak czułem się związany słowem honoru.

Po zniknięciu jak kamfora obu tych panów, zdecydowałem na pewien czas zostawić sprawę w spokoju, nim nie zakończę pierwszego okresu organizacji swego oddziału, która to organizacja była dopiero w zaczątku. Niestety zaraz po związaniu Naczelnego Komitetu Narodowego, zaczęto poza moimi plecami, bez mego udziału jakieś targi o mój oddział, i gdy przyjechałem do Krakowa dowiedziałem się o istnieniu jakiejś komendy austriackiej, która się miesza jakimiś ~~szatkami~~

rozkazami do tych oddziałów, które były przygotowywane przeze mnie w Krakowie do dalszego wymarszu. Udałem się odrazu do tej komendy, gdzie zastałem dwóch panów. Jeden z nich był to generał Baczyński, drugi zaś kapitan Zagórski. Obaj mówili po polsku, jeden powoli i bardzo z niemiecka, drugi szybko i zato czysto po polsku. Gdy od generała żądałem odpowiedzi jakim prawem on się miesza swojemi rozkazami do oddziałów do niego nie należących, odpowiedział mi, że on nie wie dlaczego on niema prawa rozkazywać tym oddziałom i majestatycznie wskazał mi ręką na kapitana. Kapitan zaś zaczął mówić szybko i dużo, kłamiąc przytem tak bezczelnie w oczy o faktach, które już stwierdziłem, że zacząłem się silnie irytować. Na wszelkie moje wymagania, aby ten kapitan stwierdził przez kogo on jest upoważniony do rozmowy ze mną, kapitan ani razu nie wspomniał nazwiska tych dwóch panów z którymi poprzednio mówiłem, tylko powoływał się albo na N.K.N. albo na głównego dowódcę wojsk austriackich gen. Conrada. Wobec tych wszystkich niespodziewanych dla mnie zajść, zakończyłem rozmowę dość brutalnie, stwierdzając, że nie uważam ich za jakichkolwiek dowódców. Pan Baczyński i zaś i p. Zagórski oświadczyli mi, że oni zabronią jakiegokolwiek z oddziałów zebranych pod Krakowem wychodzić poza granice państwa austriackiego doniedawna istniejące.

Wyszedłem więc i zdecydowałem zasięgnąć

języka u p. Lea i w jego biurach.

Od p. Lea nie dowiedziałem się nic określonego. Zdawało mi się, że jak i gen. Baczyński chciałby on majestatycznym ruchem wskazać na kogoś, kto-
by lepiej niż on mnie poinformował, natomiast w długim i rozwlekłym wywodzie chciał, abym wyraził mu zdanie swoje co do przysięgi wojskowej, która będzie ode mnie i od mego oddziału wymagana. W biurach zaś twierdzono mi, wedle zwyczaju, różne rzeczy, oparte na wszelkiego rodzaju plotkach. Twierdzono jednak, że p. Leo ma być w Przemyślu w głównej kwaterze austriackiej dokąd jest wzywany. Stwierdzono mi również, że zamiarem t. zw. N. K. N. jest utworzenie dwóch Legionów - jednego Wschodniego, drugiego Zachodniego, gdyż obie części Galicji nigdy dotąd w niczem zgodzić się nie mogły. Dalej, że jakoby Wschodni Legion oddany został pod komendę znanemu mi dawno już dymisjonowanemu generałowi Fijałkowskiemu, który wypłynął na widowię w roku 1913-ym jako nauczyciel wojskowy w organizacji sokołów galicyjskich. Jako by zaś nowy mój znajomy pan gen. Baczyński miał być wybrany na dowódcę Legionu Zachodniego, przy-
czem zapewniano mnie, że pan generał Baczyński nigdy w polu dowodzić nie będzie i zatem całe dowodzenie zostanie w moich rękach.

Było to wszystko tak niespodziane dla mnie, a zarazem tak spieszyłem do oddziałów do nadzwyczajnie trudnej pracy zorganizowania kilku tysięcy

cy ludzi w jakiś przyzwoity oddział wojskowy, że zdecydowałem nie zmieniać nic w dotychczasowym odmówieniu prawa dowodzenia p. Baczyńskiemu i p. Zagórskiemu, i po daniu odpowiednich rozkazów na miejscu w Krakowie wyjechać natychmiast do Kielc.

Musiałem sam się dobrze namyślić, jak mam wybrnąć z tak dzikiej i nonsensownej sytuacji narzuconej mnie nagle przez N.K.N.

W Kielcach więc, po załatwieniu mnóstwa najdrobniejszych spraw organizacyjnych po przejściu przez szereg najrozmaitszych odpraw, do których stawało mi nieraz po kilkunastu oficerów, jednym słowem po załatwieniu codziennej niesłychanie męczącej pracy, zostałem sam ze swojimi wątpliwościami. Przedewszystkiem więc, skonstatowałem dla siebie wyraźnie, że dotychczasowa prosta i nie zawierająca żadnych politycznych cech umowa ze sztabem austriackim, zaczęła się rozchwiewać na dobre. Zaczęła się też rozchwiewać ona i pod względem technicznym, gdyż związek i dotychczasowa prosta także łączność zaczęła się rozpływać w jakiejś mgle, a o nawiązaniu jej w sposób naturalny przy tylu zajęciach, jakie na mnie spadły mowy narazie być nie mogło.

W pierwszej sprawie, sprawie politycznej, sam skomplikowałem niezwykle sprawę przez pośpiech przyłączenia siebie do pierwszej powstałej na ziemiach polskich organizacji politycznej o charakterze wojennym. Mógłbym być, natural-

nie, przeciągać sytuację, czyniąc z przysięgi motyw dla ratowania zagrożonej przez postępowanie NKN. niezależności Polski, lecz wtedy stawiałem na kartę możliwość dalszego swobodnego rozwoju nie przez co innego, jak przez istnienie niezaprzeczonego faktu, że więcej niż trzy ćwierci mego oddziału, składało się z galicjan, zatem z wyraźnych austriackich poddanych, którzy nawet mogli być ścigani za to, że noszą broń bez złożenia żołnierskiej przysięgi. Przecież na moje żądanie wycofano do 20 oficerów rezerwowych z szeregów już zmobilizowanej armii austriackiej, a jednego cofnięto nawet z placówki, wystawionej w kierunku nieprzyjaciela na froncie serbskim. Samo zaś przystąpienie do NKN. po sprawdzeniu tej organizacji wydawało mi się oddaniem oddziału i siebie w ręce najmniej pewne i najmniej odpowiednie. Była to organizacja złożona z posłów do parlamentu wiedeńskiego, w którym ja, jako nieaustriacki poddany i nie poseł, nie mógłbym ani zasiadać, ani tem bardziej pracować. W organizacji tej panowały ustawiczne spory, ustawiczna niezgoda i ustawiczne sejmikowanie, tak że praca wojskowa nie mogła tam mieć żadnego dobrego kąta dla spokojnej i rozsądnej roboty i dlatego prawdopodobnie zostałaby rzucona zgodnie z tem, co dotąd obserwowałem, nie na kogo innego, jak na takie czy inne części wojska austriackiego. Rozumiałem więc dobrze całe skomplikowanie prostej dotychczas sytuacji i cały

ciężar, leżący na mnie przy chęci związania wszystkich moich zamiarów z całą nikłością dotychczasowej pracy polskiej.

Gdy zaś dodam, że wszyscy panowie austriacy poddani byli, chociaż nie chcieli tego, zdaje mi się zrozumieć, poddanymi państwa, będącego w stanie wojny i zatem podlegający bezwzględnie presji wojennej tego państwa i, że galicjanie odznaczali się szaloną ignorancją we wszystkich sprawach, związanych z zaborem rosyjskim, oraz że instytucje NKN. czy Koła Polskiego w Wiedniu nie miały żadnego znaczenia i żadnego wpływu w zaborze rosyjskim, to moja praca, która się wiązała ustawicznie w wypadku wojennym nie z Galicją, a z zaborem rosyjskim, stawała odrazu pod wielkim znakiem zapytania. Wyznaję, że nieraz nie widziałem żadnego wyjścia, żadnej możliwości dla uratowania sytuacji poprzedniej i zabezpieczenia zarówno sobie, jak i całemu oddziałowi większej dozy niezależności dla swobodnego rozwoju.

Tych parę dni i parę nocy należą do najbardziej męczących chwil mojego życia. Bardzo powoli zaczynałem zdobywać się na decyzję pełną wątpliwości i pełną męczących chwiejności. Przewszystkiem więc, odrzuciłem odrazu możliwość jakiegokolwiek czy formalnej, czy faktycznej zależności mojej i mego oddziału od NKN. jako najzupełniej sprzecznej z moją zasadą pracy opartej o zabór rosyjski. Następnie zdecydowałem, że

zarówno organizacja wojska, jak i wszystkie stosunki z zaborem rosyjskim zostaną wyłącznie w moim ręku i nie zostaną przeze mnie dane ani NKN. ani armji austriackiej. Zgadałem się raczej rozstać z życiem, niż pod tym względem ustąpić. We wszystkich innych rzeczach zdecydowałem pracę którą dla siebie nazywałem zawsze sztukowaniem. To znaczy, dawałem sobie swobodę cofania się od takich czy innych decyzji i przedsięwzięcia prób wszelkiego rodzaju we wszystkich możliwych kierunkach, biorąc jako główny cel rozwój wojska o charakterze czysto polskim i możliwie dobre i doskonałe zachowanie się całego wojska w polu. Co się tyczy przysięgi, zdecydowałem, że wszyscy galicjanie muszą stanąć do przysięgi, natomiast wszystkim królewskom zostawiłem zupełną swobodę przysięgania, lub nie. Zdecydowałem przytem, że w rozmowach z panem Leo o przysiędze będę stawiał tak dużo obiekcyj i tak dużo wątpliwości, ażeby to moje sztukowanie darmo nie minęło. Temu memu postanowieniu zostałem wierny, dopóki wreszcie nie zakończyłem tej pracy w twierdzy magdeburskiej.

Dodam, że o tem mojem postanowieniu nikomu nie mówiłem, nawet ze swoich najbliższych kolegów pracy, a tem bardziej p. Daszyńskiemu, którego, że powtórzę raz jeszcze, nigdy w nic nie wtajemniczałem, gdyż do utrzymania jakiegokolwiek tajemnicy nigdy nie był zdolny. Z posłów zaś galicyj-

skich pracowałem w tych sprawach niekiedy z p. Moraczewskim, który jednak wolał zawsze siedzieć w oddziale wojskowym, niż pracować politycznie czy w Kole Polskim, czy też w N.N.K.

17/. Na str. 170 tegoż rozdziału p. Daszyński jeszcze raz wspomina moje słowa, że mogę sobie w łeb strzelić, tym razem już nie w związku z czarno-żółtymi opaskami, ale z rozwiązaniem oddziału przez Austriaków. Stwierdzam więc, że te słowa mu powiedziałem w związku z pierwszym zawodem, który mnie spotkał ze strony panów z NKN., którzy poza moimi plecami dla swojej wygódki sprzedali Austriakom zarówno mnie, jak i mój oddział. Dodam jeszcze, że w przysiędze, złożonej w Kielcach istotnie odczytano nam przy słowach "cesarzowi Austrii" i słowa "Królowi Polski". Nieraz przy wielu dalszych ciężkich przejściach migąła mi myśl na te słowa się powołać i w ten sposób grać na wyodrębnienie jeszcze dalsze mojej Pierwszej Brygady z wojska austriackiego. Jednak nie mogłem ze siebie wydobyć nawet w dziedzinie sztukowania powoływania się na tę przysięgę.

18/. W następnym rozdziale XXVII nazwisko moje zgodnie ze skorowidzem nazwisk, pomieszczo-nych na końcu książki, wspomniane jest 5 razy. Nie zatrzymuję się na niektórych z tych wypadków, gdzie nazwisko moje jest wspomniane, dlatego że związane to jest w książce z temi czy innymi określeniami czy sytuacji czy też mojej dzia-

kałości w co, naturalnie nie wchodzę, pozostawiając swobodę panu Daszyńskiemu, jak i innym w sądach o mnie.

Przechodzę więc do faktów. Na str. 195 p. Daszyński opowiada o zebraniu we Frysztacie dnia 15 listopada 1914 roku, na którym to zebraniu miałem być ja wraz z sześciu innymi panami. Stwierdzam, że na tym zebraniu nie byłem i zatem nie wynosiłem żadnych frysztackich uchwał, na które tak często potem powołuje się p. Daszyński. Przy zestawieniu dat w mojej pamięci w dniu 15 listopada 1914 roku właśnie nie mogłem być na takim zebraniu, gdyż dnia 11 listopada wyszedłem z częścią mego oddziału do Krakowa przez Ulinę i odrazu wpadłem w olbrzymie kłopoty, związane z komendą fortecy krakowskiej, która żądała, abym oddział swój wyprowadził z Krakowa, gdyż nie należy on do załogi fortecy, gdy ta weszła już w kontakt z nieprzyjacielem. Nie mogłem nawet oddać kilkudziesięciu jeńców rosyjskich, których z sobą przyprowadziłem i zaledwie wytargowałem dwa dni zatrzymania w Krakowie dla wykąpania żołnierzy i jakiego takiego uporządkowania odzienia, zniszczonego przez długie marsze od Dębłina aż pod Olkusz. Natomiast musiałem natychmiast się zajmować urządzeniem mego pierwszego kontaktu z główną kwaterą austriacką w Cieszynie i zarządzeniami, związanymi z resztą mego oddziału, który zostawiłem pod Krzywopłotami.

Pamiętam, że wyjechałem z Krakowa autem z p. Sokolnickim i być może że stanąłem na chwilę u p. Ryszarda Kunickiego we Frysztacie, lecz wtedy nie rozmawiałem z nikim oprócz p. Sokolnickim, o rzeczach, które mogą mieć związek z treścią tego, co p. Daszyński nazywa frysztackimi uchwałami. W każdym razie w tym czasie tak silnie przeważały we mnie wszystkie sprawy związane z oddziałem moim, który musiałem połączyć w jedno, że na żadne zebrania nie miałem ani chwili czasu. Natomiast co do treści, związanej z P.O.N. dałem swoje rozporządzenia znacznie przedtem, gdzieś w połowie października, kiedy przyjechałem do Krakowa z pod Nowego Korczyna jeszcze chory od grypy, którą schwytkiem przeziębiony na Wiśle. Rozporządzenia moje dla cywilnej organizacji, poprzednio stworzonej przeze mnie w Kielcach, musiały być wydane, gdy likwidowałem wszystkie swoje urzędy i wojskowe i cywilne przez ewakuację prawie wszystkiego co było skompromitowane udziałem w pracy mojej w zaborze rosyjskim. Sądzikiem wtedy, że najlepiej jest zlikwidować całą pracę cywilną i zato skoncentrować cały swój wysiłek na ochronę wszystkich, którzy musieli wyjechać do Galicji jako emigranci, gdyż obawiałem się, że Austria odeśle wielu z nich do obozu internowanych, żeby nie mieć z nimi kłopotów. Dodawałem zawsze, że w ten sposób pozbędziemy się dodatkowych i niepotrzebnych elementów, żeby móc

silniej i pewniej się rozrosnąć, gdy wypadki pozwolą na to. Radziłem przytem nie wahać się przed obciążeniem tą pracą krakowskiego N.K.N. Do zarządu tą całą pracą wyznaczyłem, jak i poprzednio p.Sokolnickiego i p.Walerego Sławka. Forma, w którą zlaćby się mogły usiłowania P.O.N. i N.K.N. obchodziła mnie bardzo mało, tak że żadnym inicjatorem w tej właśnie sprawie nie byłem i o tem w każdym razie nigdy z p.Daszyńskim nie rozmawiałem.

Co się zaś tyczy pomieszczonego na końcu rozdziału rozważania przez p.Daszyńskiego kwestji czy Piłsudski wyzyskiwał N.K.N., czy N.K.N. Piłsudskiego, głosu swego zabierać nie będę, gdyż już poprzednio określiłem w swojej decyzji, że liczyć się w swojej pracy z decyzjami N.K.N. nie chciałem i nie liczyłem się. Natomiast uważałem zawsze N.K.N. jako jedną z organizacji polskich które się w całej Polsce wytworzyły w związku z wielką wojną w całej Europie. Dlatego też nigdy przed władzami austriackimi tej organizacji nie robiłem nic złego i nie wykorzystywałem żadnej sposobności, których miałem bardzo wiele, aby tej organizacji szkodzić. Niestety, o reciprocite ze strony N.K.N. w stosunku do mnie nigdy mowy nie było, gdyż N.K.N. systematycznie i stale mnie szkodził u tych właśnie władz austriackich

19/. W rozdziale XXXIII nazwisko moje wspomniane jest dwa razy. Zaczynam pokolei. Na

str. 204 p. Daszyński opowiada o wydaleniu z Legionów kilku oficerów "z Moraczewskim, Bernerem, Zamorskim ^(Kordjanem) na czele". Dlaczego na czele, tego ja nie wiem, prawdą zaś jest to, że wbrew rozkazom zatrzymałem tych wszystkich oficerów w wojsku. Natomiast poważnym nadużyciem stylowym p. Daszyńskiego jest pomieszczenie wymienionych oficerów z jakimiś mężami zaufania N.K.N., którzy zaopatrzeni w legitymacje Ministerstwa Spraw Zagranicznych mieli organizować opinię Królestwa. I za tę właśnie działalność niepodległościową oficerów I Brygady kapitan austriackiego sztabu Zagórski... spowodował wydalenie z Legionów". Wszyscy wymienieni oficerowie nie czynili nic a nic z ramienia N.K.N. natomiast zaopatrzeni w legitymacje moje potrafili przeciągnąć pracę Pierwszej Brygady na dalekich tyłach w Królestwie, nie słuchając nieraz wyraźnych rozkazów, dawanych im na dalekich etapach, tak że ściągnęli tem na siebie wielkie niezadowolenie władz wojskowych i okupacyjnych. Dość prawdopodobnem mi się wydawało, że obciążeni byli również donosami agentów N.K.N. i p. Władysława Sikorskiego. Zajmowali się ci panowie przeszwarcowaniem wielkiej ilości młodzieży z Galicji, którzy byli zagrożeni w tym czasie wzięciem ich do wojska austriackiego.

Na str. 208 p. Daszyński opowiada o swoim pobycie w Pierwszej Brygadzie w okopach nad Nidą w czasie koło 19 marca 1915 roku. Co do mnie nie przypominam sobie, abym widział p. Daszyńskiego

podczas obiadu imieninowego w Grudczynach, natomiast jest możliwe, że jakąś jedną chwilę widziałem się z p. Daszyńskim w tychże Grudczynach. Nie mogę jednak ani rusz powiązać tej jego wizyty z memi imieninami i obiadem.

20/. W rozdziale XXIX p. Daszyński traktuje sprawy związane z przełomowym dla Polski rokiem 1915. Już na str. 214 p. Daszyński bez żadnej zresztą podstawy mówi o mnie, że podczas mego pobytu w Warszawie w sierpniu tegoż roku "brednie różnych polityków doprowadzały go do rozpaczy". Mogę z zupełną pewnością zaświadczyć, że rozpaczy nie odczuwałem, a że brednie różnych polityków galicyjskich, a jeszcze bardziej ich czynności robiły mnie tysiąc razy więcej przykrości, niż oszokowanie Warszawy, zajętej przez Niemców. Na str. 216 p. Daszyński pisze, że Piłsudski wydał hasło: nie werbować. Ponieważ zaś młodzież rwała się do ^I~~Pierwszej~~ Brygady, więc kilkuset zorganizowanych pod dowództwem T. Żulińskiego młodzieńców wymaszerowało do Brygady, ale werbunku, prowadzonego przez Departament Wojskowy niepodległościowcy nie uznawali". Te wszystkie słowa wydają się mi odbiciem tej burzy w szklance wody, która w głowach polityków N.K.N. z ich "bredniami" odbywała się codzień w innej postaci. Więc przede wszystkim dla mnie miarodajnym było nie to, co się dzieje w burzy w szklance wody galicyjskiej, ale stan

mojej organizacji, prowadzonej przez Zulińskiego, oraz stosunek Niemców do wszystkiego tego, co się dzieje w zajętej Warszawie. Natomiast rozmowy moje z tak zwanymi przez p. Daszyńskiego politykami były tylko orientacyjne, gdyż rozumiałem dobrze, że gwałtowna zmiana, która w życiu Warszawy zajść musiała, dopiero powoli wyrobić może sądy o rzeczy. Przekonałem się odrazu, że w stosunku do mnie i prac moich spotkać muszę względnie szeroki odzew tak, jak go spotkałem w znacznie jaśniejszym i większym rozmiarze w Lublinie. Co się tyczy organizacji Zulińskiego, to przede wszystkim liczyła ona nie kilkuset, a kilka tysięcy zorganizowanych ludzi. Tę niestety najbardziej zorganizowaną część Warszawy spotkało przykre rozczarowanie z powodu stosunku, jaki istniał dla Pierwszej Brygady zarówno ze strony władz austriackich jak i N.K.N. Wobec tego zarządzeniem natychmiastowe odmaszerowanie do Brygady wszystkich najgorętszych i pozostawienie reszty tam, gdzie się znajdowali. A wobec wielkiej prośby ś.p. Zulińskiego abym mu pozwolił chociażby na czas mały odejść do Brygady, ku wielkiemu memu niezadowoleniu, musiałem wyznaczyć komendę nową. Jako zasadę na czas pewien kazałem przyjąć odsyłanie do Brygady wszelakimi sposobami i drogami wszystkich tych, którzy się skompromitują wobec władz niemieckich i austriackich. Dla reszty zaś kazałem pozostawać w spokoju, możliwie rozszerza-

jąc organizację, nakazałem przytem dużą ostrożność w stosunku do organizacji N.K.N. i p. Sikorskiego, gdyż przesiana ona jest najohydniejszym szpiegostwem. Zadnego zaś hasła "nie werbować" nie wydałem, sprawa zaś sama werbunku rozdęta była właśnie w sposób taki, jak p. Daszyński pisze, przez N.K.N. i przez Departament Wojskowy z p. Sikorskim na czele, gdyż ani władze austriackie, ani władze niemieckie nie podnosiły tej sprawy i nie czyniły z niej coś ważnego. Przyszło do tego znacznie potem.

Na str. 220 cytowany jest jakoby mój list, pisany do p. Daszyńskiego z pozycji pod Kołkami 14 listopada. Gdy wyjątki z tego listu czytam, nie mogę nigdzie poznać siebie i wcale sobie nie przypominam tego wypadku, abym listy miał pisać do p. Daszyńskiego z jakimiś śmiesznymi wynurzeniami, a już zupełnie śmieszny i nieprawdopodobny jest początek tego listu, pisanego na maszynie. Wtedy kiedy ja raz jeden w życiu i to we Lwowie znacznie przed wojną napisałem jeden tylko list na maszynie do p. Rylskiego w Ameryce i pamiętam siebie dokładnie, jakem siebie wtedy podziwiał, że taki nonsens mogę robić, pisałem go bowiem całe 10 dni. Ale przypuścić, że ja w ziemiance do p. Daszyńskiego mógł wynurzenia na maszynie klepać, to należy już do takich bajek, o jakie nawet p. Daszyński nie posądzałem. I po tym bajkowym liście, p. Daszyński na str. 222 wybrał się nad Styr, aby ze mną w tejże ziemiance rozmawiać

o wstąpieniu p. Daszyńskiego do Koła Polskiego i to w końcu listopada 1915 roku, gdy ja właśnie w tej ziemiance już nie byłem, ściśle bowiem daty nie pamiętam, lecz w tym czasie musiałem być albo pod Stowgroszem we względnie przyzwoitym, jak na błota poleskie domu, albo w Leszniówce w głębokiej rezerwie, więc w każdym razie nie w ziemiance. Dodam, że żadnych rozmów z p. Daszyńskim o wstąpieniu jego do Koła nie prowadziłem.

20 20/. W rozdziale XXX na str. 231 znajduję znowu wypadek, którego sobie absolutnie nie przypominam, mianowicie, że p. Daszyński zwracał się do mnie z prośbą o opinię co do stosunków legjonowych. Wobec tego, że to jest okres czasu, gdy po najcięższych bojach, które w Legjonach miałem, mianowicie pod Kościuchnowką nad Styrem w drugiej połowie lipca 1916 roku, nie mogę nawet sobie wyobrazić, jaką to drogą mógł p. Daszyński w tym czasie z czemkolwiek bądź się zwracać, gdyż po ciężkich przegranych po bitwie pod Łuckiem i po naszym wycofaniu się z nad Styru rozpoczął się okres długich i bardzo ciężkich walk na Stochodzie, front cały był zamknięty dla jakiegokolwiek komunikacji. Nie mogłem więc do p. Daszyńskiego pisać listu, datowanego z Dubniaka 25 lipca 1916 roku. Następnie idzie cytata, którą p. Daszyński czyni, jak pisze, w "najważniejszym streszczeniu" mego jakoby listu. Kiedy teraz czytam raz po raz to "najważniejsze streszczenie", nie mogę nie wiedzieć, że jest ono czemś ze mną związane, coś

26. XI. Inemaru z Konyars
do Stowgrosza -
10. XII - 14. XII. Inemaru do
nr. korp. Hancera -

Zapytań
Sorokowskiego.

N. Stowgrosz mi był -
Konyars.

proponuję: wstać skrócić

skrócić.

Sz. listy: odp. z 23. VII. kol. Dubniaku
do Starha -

Odp. 24. VII. kol. Dubniaku
do Sokolowskiego

Odp. 24. VII. do Jaworskiego -

Skądś: porównaj
z tekstem Daszyńsk. 5 IV. 22/II.

o wstąpieniu p. Daszyńskiego do Koła Polskiego i to w końcu listopada 1915 roku, gdy ja właśnie w tej ziemiance już nie byłem, ściśle bowiem daty nie pamiętam, lecz w tym czasie musiałem być albo pod Stowyrzosem we względnie przyzwoitym, jak na błota poleskie domu, albo w Leszniówce w głębokiej rezerwie, więc w każdym razie nie w ziemiance. Dodam, że żadnych rozmów z p. Daszyńskim o wstąpieniu jego do Koła nie prowadziłem.

21/. W rozdziale XXX na str. 231 znajduję znowu wypadek, którego sobie absolutnie nie przypominam, mianowicie, że p. Daszyński zwracał się do mnie z prośbą o opinię co do stosunków legjonowych. Wobec tego, że to jest okres czasu, gdy po najcięższych bojach, które w Legjonach miałem, mianowicie pod Kościuchnowką nad Styrem w drugiej połowie lipca 1916 roku, nie mogę nawet sobie wyobrazić, jaką to drogą mógł p. Daszyński w tym czasie z czemkolwiek bądź się zwracać, gdyż po ciężkich przegranych po bitwie pod Łuckiem i po naszym wycofaniu się z nad Styru rozpoczął się okres długich i bardzo ciężkich walk na Stochodzie, front cały był zamknięty dla jakiegokolwiek komunikacji. Nie mogłem więc do p. Daszyńskiego pisać listu, datowanego z Dubniaków 25 lipca 1916 roku. Następnie idzie cytata, którą p. Daszyński czyni, jak pisze, w "najważniejszym streszczeniu" mego jakby listu. Kiedy teraz czytam raz po raz to "najważniejsze streszczenie", nie mogę nie wiedzieć, że jest ono czemś ze mną związane, coś

jakby jakaś notatka, którą mogłem napisać, chociaż niektóre ustępy napewno nie są moimi. Skąd zaś sama ta notatka pochodzi, nie mogę sobie wyrobić pojęcia, natomiast listem do Daszyńskiego napewno ona nie jest.

Dalej, na str. 239 p. Daszyński cytuje znowu odezwę z frontu 4-ch pułkowników z wyminieniem ich nazwisk i pomiędzy innymi, mego nazwiska. Mogę zupełnie jasno stwierdzić, że tej odezwy nie podpisywałem.

22/. W rozdziale XXXI na str. 246 p. Daszyński opowiada o podaniu się moim do dymisji z wojska. Wiążąc przytem to moje wystąpienie z wojska z najrozmaitszemi motywami i wypadkami mówi o jakimś "wyczerpaniu wszystkich środków walki" przeze mnie tak, że sam ten akt wyjścia z Legjonów nie ma całkiem podobieństwa ani do tych motywów, które oficjalnie podałem, ani do tych, dodatkowych motywów, których w oficjalnem podaniu się do dymisji nie podałem. Decyzja moja o mojem wyjściu z Legjonów zapadła akurat rok przedtem, gdy wróciłem z Warszawy do wojska, które pod Kowlem rozpoczęło ~~si~~ kampanję na Wołyniu. O tem zaś powiadomiłem wszystkich oficerów w mojej Brygadzie do dowódców kompanji włącznie. Rozumiem, że p. Daszyński nie powiadamiany przeze mnie o tym moim zamiarze, może robić jakie chcą przypuszczenia o tym ważnym dla rozwoju wypadków fakcie, w każdym jednak razie ustępy, związa-

ne z moją dymisją, nie odpowiadają prawdzie i nie mogą być brane jako podstawa dla jakiegokolwiek historii.

W innych wypadkach/dwóch/ nazwisko moje jest wspomniane tak okolicznościowo, że nie mam nic do powiedzenia w obu tych wypadkach.

23/W rozdziale XXXII nazwisko moje wspomniane jest przez p. Daszyńskiego na początku rozdziału z powodu Rady Stanu i z powodu P.O.W. Przedewszystkiem powiedzieć muszę, że wszystko to, co p. Daszyński mówi o P.O.W. ku wielkiemu memu zdziwieniu jest tak mętne i tak pomieszane z jakimiś dodatkami, jakby rozmyślnie wiążącymi P.O.W. to z ruchem niepodległościowym, to z moją ideą, lecz zanic w świecie wyraźnie z moją osobą, że przypomina mi to bezwiednie także groźby, robione przez p. Daszyńskiego w stosunku do mnie w sprawie Komisji Tymczasowej Stronnictw Niepodległościowych na początku wojny. Tak więc, p. Daszyński pisze, że jacyś nie wymienieni niepodległościowcy, kładząc się "zaczynali się naradzać nad ujawnieniem Polskiej Organizacji Wojskowej i oddaniem jej Radzie Stanu". Ależ P.O.W. była pod wyraźną moją komendą i miała na czele oficerów Pierwszej Brygady, których dla tego celu odkomenderowałem do Warszawy. Nie było więc mowy o tem, ażeby P.O.W., która była jakgdyby rozciągnięciem Pierwszej Brygady w Królestwie, mogła cokolwiek postanowić bez mego wyraźnego na to rozka-

zu. Istotnie jest słuszne, że byłem znacznie ostrożniejszy, niż wszyscy Panowie z Rady Stanu i nie życzyłem sobie rozszerzenia Legjonów dopóki nie stanie się jasnym, w jakiej formie ma to być przeprowadzone. Wiedziałem zaś z zachowania się zarówno p. Beselera jak i pułkownika Paica, który był w Warszawie reprezentantem armji austriackiej, jak i z rozmów z nimi, że obie armje - niemiecka i austriacka chciałyby bardzo widzieć Legjony silnie wzmożone.

Następnie, p. Daszyński podając jakoby historję P.O.W. zupełnie spokojnie miesza dwie rzeczy: jedną P.O.W., dowodzoną istotnie przez śp. Gulińskiego, która pracowała jeszcze w zaborze rosyjskim z inną P.O.W., inaczej prowadzoną i inne cele sobie stawiającą podczas panowania niemiecko-austriackiego w Królestwie. P.O.W. wtedy, gdy istniała Rada Stanu ze mną jeszcze niezaaresztowanym, była pod komendą oficera z mego sztabu, p. Tadeusza Kasprzyckiego. Wydaje mi się tem dziwniejszem to jakgdyby pomieszanie pojęć o P.O.W., gdy właśnie w całym Królestwie P.O.W. więcej znaczyła realnie, niż wszystkie partje, będące w Królestwie.

24/. W rozdziale XXXIII p. Daszyński wspomina moje nazwisko kilka razy, raz jeden zaś tylko w związku z mojami czynnościami. Czynności te związane są z P.O.W. i moją pracą w Radzie Stanu. Przedewszystkiem stwierdzić muszę, że tak

nonsensownego planu, jaki mnie przypisuje p. Daszyński, nigdy nie miałem i nigdy takim planem się nie zajmowałem. Mianowicie, p. Daszyński po stwierdzeniu, że p. Sikorskiemu nie udało się werbunek, mówi: "Wówczas Piłsudski, który był członkiem Rady Stanu postanowił użyć P.O.W. do tego, aby Rada Stanu uzyskała stanowisko samodzielne przez oparcie się na kadrach wojska polskiego, ~~z~~ jakimi była P.O.W." Wygląda mi to tak zabawnie i tak śmiesznie, że tylko człowiek bardzo i bardzo naiwny mógłby takie głupstwa powiedzieć. Więc P.O.W. nigdy kadrami wojska polskiego być nie mogła, następnie zaś nie mogłem nigdy być tak naiwny, abym oddawał w ręce Rady Stanu samą P.O.W., po pierwsze P.O.W. nigdy na to by się nie zgodziła, po drugie Rada Stanu, tak jak N.K.B. niegdyś, sprzedałaby natychmiast wszystko, co było i P.O.W., i Legjonami, nawet za małe wygody życia. Natomiast, władze wojskowe zarówno niemieckie, jak i austriackie ze mną targowały się stale tylko o P.O.W. Moje zaś stanowisko, które p. Beselerowi kilka razy powtarzałem, było zawsze jedno i to samo, mianowicie, że werbunek udać się nie może nigdy z chwilą gdy stosunek do formacji wojska polskiego ma być niezmienny. I gdy Austriakom ta metoda się nie udało, to ~~x~~ tem mniej może się udać Niemcom, do których stosunek ludności jest daleko gorszy, niż do Austriaków. Twierdziłem przytem, że te metody, obostrzone przez Niemców są tego rodzaju

ju, że wydaje mi się ciągle, jak to było zresztą z Austryjaki, że się rozmyślnie robi wszystko, aby powstaniu wojska polskiego możliwie szkodzić. Dlatego też powtarzam, tego śmiesznego planu, przypisywanego mnie przez p. Daszyńskiego, nie miałem.

Następnie co do przysięgi, której zażądano od Legjonów, co do mnie, wyraźnie zabroniłem składania tej przysięgi. Wiedziałem wtedy dobrze, że prawie całość swojej dotychczasowej pracy prawie zupełnie kasuję, kazałem więc P.O.W. wejść możliwie głęboko pod ziemię, wchłaniając w siebie wszystkich tych legionistów, którzy wyjdą z wojska. Co do siebie samego, postanowiłem zaraz zająć się wszelkimi przygotowaniami do przejścia z kilku ludźmi na inną stronę drutów to znaczy do Rosji, gdzie zaczęła się praca rozkładu dotychczasowego systemu, i gdzie jak wiedziałem, na pierwszym zjeździe wojskowych Polaków, wybrano mnie jako honorowego dowódcę wszystkich wojsk polskich. Śmiałem się zawsze w tym czasie, że sprawa polska przy ogólnym tchórzostwie grana jest stale przez Polaków nigdy in plus, a zawsze in minus, wtedy kiedy ja prowadzę ją stale in plus, a nie in minus. Przyrównywałem to do gry w winta i twierdziłem, że wobec tego, że nasz kolor jest dotąd najniższy, to znaczy, że mamy piki, to dociągnąłem, po tej stronie frontu do trzech pików, po tamtej zaś stronie można już zacząć od czterech pików.

Ten plan mój już mi się nie udał. Nie udał

się głównie dlatego, że z chwilą odmówienia przysięgi przez olbrzymią większość legjonistów, wszyscy polscy politycy ówczesni, jakgdyby uprzedzając zamiary czy chęci władz okupacyjnych, zaczęli mówić w Warszawie, Krakowie, w Wiedniu, że Niemcy wszystkich, którzy odmawiają przysięgi, rozstrzelają, i zrobią z nich nową hekatombę. Zdecydowałem wtedy, że nie mogę wobec tego opuścić szeregów tak wiernie mnie oddanych i dlatego zostawiam pewien czas który określiłem na dwa tygodnie, kiedy oddaję do dyspozycji narówni z moimi towarzyszami broni. Jako też zostałem przed upłynięciem tych dwóch tygodni aresztowany i razem z Sosnkowskim wywieziony.

Taką więc była istotna historia, wtedy kiedy u p. Daszyńskiego w jego pamiętnikach nie tylko ja, lecz i Legjony i tem bardziej P.O.W. wyglądają, jak przyczepka do przemówień i pracy p. Daszyńskiego, do jakiejś lewicy demokratycznej i do jakichś nieokreślonych "ruchów".

25/. W następnych rozdziałach p. Daszyńskiego aż do ostatniego rozdziału, gdzie się zaczyna "powrót Piłsudskiego z niewoli", nazwisko moje wspomniane jest okolicznościowo, Najczęściej, o ile mogłem skonstatować, nazwisko moje łączy się z wszelkiego rodzaju żądaniami, stawianymi to Niemcom, to Austryjakom o zwolnienie mnie z Magdeburga. Wobec tego zaś, że byłem izolowany od Polski przez dobrych kilkanaście miesięcy, nie mogłem brać udziału w żadnej z prac, które w owe czasy w Pol-

sce robiono, więcej nawet, nie mogłem o tych pracach nawet nie wiedzieć, gdyż żadne pismo polskie do mnie nie dochodziło i jako jedyne pismo miałem national-liberalne "Magdeburger Zeitung", które akurat o Polsce nigdy nie nie pisało. Dlatego też nie mam właściwie nic do sprostowania we wszystkich tych rozdziałach p. Daszyńskiego.

Jeden mały wyjątek zrobić muszę, gdyż nie odpowiada on najzupełniej prawdzie, mianowicie na str. 323 p. Daszyński opisuje wizytę u siebie w Krakowie p. Władysława Seydy i to w styczniu 1919 roku, t.j. w tym czasie, gdy byłem już w Warszawie i prowadziłem Polskę do zebrania Sejmu w tejże Warszawie. P. Daszyński pisze, że "groźba Piłsudskiego, że Komitet/narodowy/każe zamknąć do aresztu, położyła kres tym endeckim pomysłom"; szło, jak pisze p. Daszyński, o propozycje p. Władysława Seydy aby razem z socjalistami, niedopuszczyć do wyborów.

Stwierdzam więc, że nigdy od p. Daszyńskiego o tej propozycji p. Seydy nie słyszałem i zatem nie potrzebowałem wcale grozić ani p. Władysławowi Seydzie, ani żadnemu Komitetowi.

26/. W ostatnim rozdziale XXXVIII p. Daszyński traktuje "powrót Piłsudskiego z niewoli i utworzenie pierwszego rządu państwa polskiego". Kiedy po kilka razy przeczytałem historję utworzenia pierwszego rządu, nie mogłem nie podziwiać **stale**, jak bez ceremonji p. Daszyński **stale**

obchodzi się z historją, z faktami, datami i ze wszystkimi okolicznościami zewnętrznymi w stosunku do siebie. Siebie naturalnie nie poznawalem zupełnie. Jakiś inny Piłsudski, nie grający przytem żadnej roli, tak jakaś kulisa sceniczna. Dlatego też z wielkim trudem szukałem metody, jakąbym mógł iść celem sprostowania historycznego. Za dużo w tem wszystkim jakichś kłamanych anegdot historycznych, jakichś poplątanych zupełnie faktów, mających ciągle jako wiązadło p. Daszyńskiego. Trudności zwiększają się dla mnie jeszcze dlatego, że piszę to na Maderze i nie mogę z pewnością i ścisłością trzymać się dat historycznych, których na dalekim oceanie sprawdzić mi gdziekolwiek jest trudno, a pamięci dat niestety nie posiadam.

Zaczynam więc od daty 11-go listopada, który to dzień doskonale pamiętam, jako dzień pierwszy, który spędzałem w Warszawie po przybyciu z Magdeburga. P. Daszyński opowiada, że połączył się^z pałacem Kronenberga i usłyszał mój głos, który wydał mu się osłabionym i zmęczonym. Ja zaś 11-go listopada spędziłem cały dzień na ulicy Moniuszki, w pałacu Kronenberga nie byłem i tego dnia z nim telefonicznie nie rozmawiałem. P. Daszyński pisze dalej, że już około godziny dziesiątej tegoż dnia Piłsudski z żółtą i niezdrową cerą twarzy, mocno zdenerwowany i bardzo zmęczony, po długich rozmowach, zdecydował, że powierza Daszyń-

skiemu utworzenie gabinetu. Dodaje przytem: Piłsudski "miał wówczas faktyczną władzę i był rzeczywistym naczelnikiem państwa, bo nietylko regencja mu ją ~~zdała~~ oddała, ale naród cały ją bez protestu uznał". I to wszystko miało się dziać 11-go listopada o g. 10-ej wieczorem. Ręce mi opadają od tego steku fałszerstw i kłamstw z tego dnia 11-go listopada.

Dnia tego starałem się choć trochę porządować się w sytuacji w Warszawie, choć trochę chwycić fakty z całej długiej przestrzeni czasu, kiedy ja byłem w Magdeburgu, najzupełniej izolowany od Polski; a czułem, że stosunki pomiędzy ludźmi, nawet mnie bliskimi zupełnie się zmieniły. Przytem cały czas drzwi się nie zamykały, wbiegali najrozmaitsi ludzie, żeby na mnie choć popatrzeć, choć słowo do mnie przemówić. Przychodziły różne delegacje z mowami, odbywała się pod balkonem manifestacja, do której musiałem wychodzić. I to wszystko odbywało się po dzikich wrażeniach nagłego zwolnienia mnie z Magdeburga z powodu wybuchu rewolucji w tem mieście, po nagłych berlińskich wrażeniach i po wybuchu rewolucji w stolicy Niemiec i po długiej niespanej nocy, spędzonej w wagonie w extra pociągu, którym mnie z Berlina odesłano do Warszawy.

Kiedy wreszcie około g. 10-ej wieczorem zakazałem kogokolwiek puszczać do mnie i zastanowiłem się nad sytuacją, w której się znalazłem

w stolicy Polski, w której panował Beseler, zdecydowałem natychmiast wyjechać z Warszawy, gdy Austria już upadła, a całe pół Królestwa, czyli okupacja pruska stała jeszcze bez zmiany. Zdecydowałem jechać do Lublina, gdzie był generał Smigły i do Krakowa, gdzie był Roja, o czym się dowiedziałem od różnych ludzi. Chaos, z którym się spotkałem w Warszawie, był tak bezmierny, że bez zastanowienia się i obeznania się z charakterem tego chaosu, uważałem za niemożliwe dla siebie przystąpić do jakiejś pracy. Obciążał tę moją decyzję bardzo fakt, że ledwie chwilę tylko mógł widzieć swoją córkę, która mi się urodziła podczas mego pobytu w Magdeburgu. Nie mogłem zaś wtedy napewno oddawać władzy w ręce p. Daszyńskiego, gdyż on tego dnia nie był ani razu w mojej myśli. Z tą decyzją położyłem się spać: żeby choć trochę się przespać.

Nie sądzono jednak spać mi tej nocy. Wkrótce po zaśnięciu zostałem obudzony i zaraportowano mi, że przyszła do mnie delegacja od Soldaten-Rat'u, czyli Żołnierskiej Rady z jej przewodniczącym na czele, który w imieniu tej Rady objął komendę nad całym wojskiem niemieckim, które jeszcze w generał-gubernatorstwie warszawskim istniało. Gdy zdziwiony tą delegacją zapytałem, czego mogą chcieć ode mnie, stwierdzili, że są gotowi poddać się wszystkim moim zarządzeniom, bylebym im zagwarantował życie i swobodny odjazd

do ojczyzny. Gdym zaś zdziwiony zapytał, dlaczego zwracają się do mnie, a nie do kogo innego, gdy ja świeżo przybyły z Magdeburga nie mogę mieć w ręku żadnej organizacji tak pewnej i silnej, ażeby wola moja była zagwarantowana w dostatecznej mierze, odpowiedzieli mi w sposób nadzwyczajnie dowcipny. Mianowicie, stwierdzili, że nie chcą przeszkadzać Polakom w żadnej ich pracy w Polsce, lecz nie mogą zwrócić się do nikogo oprócz mnie dlatego, że widzą, gdyby się zwrócili do kogo innego, czy do jakiejś grupy, to właśnie dlatego, że się zwrócili do takiej grupy czy człowieka, zostaliby wyróżnieni przez innych. Twierdzili przytem, że gdybym się na to nie zgodził, to muszą zaraz dać rozporządzenie ostrego pogotowia i będą musieli siłą otwierać sobie drogę do Niemiec. Po krótkim namyśle musiałem dać odpowiedź, zapytałem więc, czy oddadzą w moje posiadanie broń niemiecką, która istnieje na tym terenie, drugie, czy oddadzą w ręce moje wszystkie lokomotywy i wagony, które są na terenie od nich zależnym i wreszcie, czy całą łączność telefoniczną i telegraficzną będzie dana mi do użytku dla rozmów i depeusz. Najbardziej w odpowiedzi wahano się co do broni, nie tylko w obawie życia, ale dlatego, że niektóre oddziały nie zechcą usłuchać takiego rozkazu. Byłem jednak bezwzględny i obstawałem przy swoim. Jeżeli czułem, że przedstawiciele Soldatenratu zaczynają ustępować, to znowu dla

mnie następował okres wahania się; jakżeż ja to zrobię; dlatego też powiedziałem, że w tej chwili na takie rzeczy zdecydować się nie mogę, wtedy panowie ci odpowiedzieli mi ostatecznie, że oni mogą czekać na moją odpowiedź tylko do ósmej rano dnia następnego, gdyż wtedy muszą natychmiast dać odpowiednie rozkazy.

Kazałem więc wtedy podać sobie mocnej herbaty i siadłem do rozmyślenia nad nową decyzją. Broń, lokomotywy i wagony stanowiły w tym czasie takie precozja, że warto było zagrać na tę umowę, której nawet z pewnością nie mogę dotrzymać. Pamiętałem dobrze swoje myśli w wagonie, pędzącym z Berlina do Warszawy i unoszącym mnie poprzedniej nocy z więzienia na swobodę i pamiętałem, jak jedną z najbardziej dokuczliwych dla mnie myśli była, że nas okupanci mogą zostawić bez jednej lokomotywy i bez jednego telefonu, czyniąc z nas prymitywy pod względem techniki życia. Nazajutrz rano dałem odpowiedź zgadzającą się na gwarancję, stwierdzającą jednak, że muszę mieć czas do uporządkowania kraju, dając przytem z mojej strony wybranego przeze mnie oficera dla stałego pracowania u nich dla ich jak najprędszego wywiezienia. Wybrałem do tego jednego z najenergiczniejszych moich oficerów, doskonale mówiącego po niemiecku, p. Börnera, obecnego ministra poczt i telegrafów. Drugi warunek, który im postawiłem, była ochrona dla nich narzucona wszystkim oficerów

niemieckich, z którymi mogą sobie czynić w swojej ojczyźnie co chcą, u nas zaś nie wolno było ich obrażać, nie wolno było zdzierać ich odznaki, wolno było tylko ich rozbrajać. W ten sposób zmieniłem swoją poprzednią decyzję wyjazdu z Warszawy i dopiero drugiego dnia po przyjeździe zacząłem myśleć o utworzeniu Rządu w Warszawie.

Nie mogę więc jeszcze raz nie podkreślić, że opis p. Daszyńskiego na str. 327-328, jego rozmów ze mną jest z gruntu fałszywy. A gdy dodaje do tego opis mego głosu i wyglądu, nie mogę nie powiedzieć, że fałsz jest rozmyslny i że opis jego należy do szeregu bajek, wymyślonych przez tego pana. Przechodząc do dalszego opisu p. Daszyńskiego, mam na początku str. 329 dalszy szereg kłamstw, mianowicie p. Daszyński pisze: "w listopadzie koalicyjny rząd był w Polsce niemożliwy. Piłsudski pragnął tego rządu, lecz i on liczył się z przeszkodami i zdecydował się na rząd ludowy".

Nim przystąpię do prawdziwego stanu rzeczy, stwierdzę raz jeszcze, że tu, na Maderze nie jestem w stanie sprawdzić ściśle dat takich czy innych moich czynności, lecz z pewnością powiedzieć mogę, że zobaczyłem się z p. Daszyńskim i z całym rządem lubelskim napewno nie drugiego dnia po moim przybyciu do Warszawy, lecz musiało to się stać, jak mnie się zdaje, czwartego lub piątego dnia. Drugi dzień cały, zatem 12-go listo-

pada, poświęciłem przede wszystkim na zorganizowanie choć jakiegokolwiek pomocy sobie w pierwszych moich krokach i na jakim takim zorientowaniu się w sytuacji możliwie w całym kraju. Przychodziło mi to z nadzwyczajną trudnością, gdyż najbliżsi mi ludzie raczej rozpytywali mnie, niż w czemkolwiek mnie orjentowali, a - powtarzam, spostrzegłem zmiany w stosunkach między nimi, w których sam nie mogłem się zupełnie zorientować. Obok tego przyjmować musiałem stale i ciągle całe mnóstwo znajomych i nieznajomych, którzy wbiegali powiedzieć mi o swojej radości, albo raczej orjentowali się u mnie, niż ja u nich. Wszyscy zaś chcieli najwyżej trzech minut, albo czterech, które się przeciągały do dziesięciu albo piętnastu, przyczem wszyscy ofiarowywali mi swoją pomoc, pozostając w pokoju, gdzie ja przyjmowałem i po 10 i 15 minutach. Służba zaś wewnętrzna po przeprowadzeniu tysiąca kłótni, machnęła na wszystko ręką i tylko z radosnymi minami wносиła mi ciągle gorącą herbatę i pchała we mnie rozmaite przekąski i zakąski. Szukałem wciąż coraz innego pokoju, gdziebym cokolwiek i z kimkolwiek mógł porozmawiać. Miłość więc do mnie pozostawiała mi niezwykle mało czasu do zastanowienia się i pobierania decyzji.

Z tych skąpych jednak informacji zdążyłem zrozumieć, że mam w Polsce co najmniej już cztery rządy, jeden z nich był w Warszawie w postaci

umierającej i wchodzącej do grobu Rejencji, drugi był w Krakowie, oparty na patencie cesarza Karola i złożony z posłów do zaginionego już parlamentu wiedeńskiego. Rząd ten opierał się więc na condominium z zagasłym już rządem austriackim chociaż wojsko było jakoby w rękach pułkownika Roji, na którego mogłem liczyć śmiało. Trzecim był rząd ludowy i lubelski, który chciał objąć zarządzeniami była okupację austriacką. Czwartym wreszcie był rząd Soldatenratu w Poznaniu, do którego wchodził i przedstawiciele Polski. Piątym nareszcie byłem ja sam, który chciał urządzić rząd bez żadnych przymiotników dla całej Polski. Dodam, że do rządu ludowego i lubelskiego wchodził i pułkownik Smigły, na którego także liczyłem napewno. W Warszawie zaś liczyć mogłem, że wszystko, co jest wojskiem, stanie pod moim dowództwem.

Gdy więc ja nie mogłem już wyjechać z Warszawy, tak jak zamierzałem do Lublina i Krakowa, zamierzałem zacząć od rządu ludowego i lubelskiego ażeby go sobie poddać. Wydawało mi się to najłatwiejszym, i zresztą miał on ten plus w porównaniu z innymi, że nie opierał się na żadnym condominium z byłymi zaborcami Polski.

Nie pamiętam już teraz, czy przed ściągnięciem całego rządu lubelskiego do mnie do Warszawy, rozmawiałem z prezesem tego rządu, Daszyńskim osobno, czy też rozmawiałem również osobno

z innymi członkami tegoż rządu bez posiedzenia, zacząłem jednak od tych twierdzeń, któremi i zakończyłem na posiedzeniu tegoż rządu u mnie w mieszkaniu na Mokotowskiej. Twierdzenia te były następujące: po pierwsze, że dążyć będę do rządu koalicyjnego, który znowu dążyć będzie do możliwie szybkiego zwołania Sejmu w Warszawie, po drugie zaś, że nie chcę dopuścić, by rząd był ubrany w jakiegokolwiek przymiotniki, gdyż to jest śmieszem naśladownictwem eksperymentów idących od wschodu. Na te spory o słowa, o szyldy musiałem zużyć dużo energii i wtedy zażądałem, aby rząd odbył posiedzenie w Warszawie u mnie. Pamiętam żywo to posiedzenie, na którym osobiście przewodniczyłem. Postawiłem tam kwestję zupełnie wyraźnie, żądając, żeby rząd się rozwiązał, pozostawiając mnie swobodę działania. Spotkałem opór ze strony p. Daszyńskiego i kwaśne miny ze strony części tego rządu. Zwróciłem się wtedy do pułkownika Smigłego, żądając odpowiedzi, czy staje natychmiast pod moją komendą. Pułkownik Smigły stanął na baczność i stwierdził, że zawsze był moim podwładnym i chce nim pozostać. Dodam jeszcze, że zarówno p. Daszyński, jak niektórzy z członków lubelskiego rządu, chcieli urządzić rewolucję przeciwko Rejencji, której zresztą odmawiali wszelkiego wpływu i znaczenia, co zresztą było ścisłą prawdą. Pozostawiłem więc po odebraniu wojska pod moją komendą rząd lubelski na naradzie u

mnie, żądając odpowiedzi możliwie szybkiej i gdy po jakimś czasie zostałem znowu zaproszony na posiedzenie, Daszyński w imieniu rządu stwierdził jego rozwiązanie, dodając, że gdy odebrałem rządowi ministra wojny, rząd utrzymać się nie może. Zdecydowałem wtedy odrazu, że będę musiał oddać sformowanie gabinetu p. Daszyńskiemu, czyniłem to z pewną wewnętrzną niechęcią, lecz postanowiłem odrazu, że postawię dwa zasadnicze warunki. Jeden z nich dotyczył się natychmiastowej i pospiesznej pracy nad zwołaniem Sejmu w Warszawie, drugi zaś dotyczył się zaniechania jakiejkolwiek pracy prawodawczej i wprowadzania jakichkolwiek praw o charakterze socjalnym, nim sejm nie zbierze się w Warszawie. Zdawało mi się, że te zastrzeżenia wystarczą. Natomiast zdecydowałem, że przedtem nim oddam sformowanie gabinetu p. Daszyńskiemu muszę uczynić coś w rodzaju narady, czy wysłuchania opinii całego szeregu ludzi, reprezentujących choć cokolwiek z mnóstwa tajnych dotąd organizacji o charakterze politycznym. Nie mogłem bowiem dopuścić, abym czyniąc taki wyłom w pojęciach ludzi w Polsce, dając na czoło rządu człowieka zupełnie nieznanego w przeważnej części Polski, nie miał nawet próby porozmawiania chociażby nawet mylnie wybranych ludzi. Wielce pomocnym mnie przy tym doborze ludzi był p. Artur Sliwiński, który mi bezstronnie oświetlił sytua-

cję polityczną w Warszawie.

Poświęciłem na to całe dwa dni i pokolei wysłuchałem czterdziestu kilku ludzi, nie mówiąc sam przytem nic a nic, a tylko wysłuchując różne opinie, narzekania i, co najważniejsza, absolutną odmowę dania mi jakiegokolwiek rady, czy wymienienia jakiegokolwiek nazwiska w sprawie utworzenia rządu w Polsce. Zdecydowałem wtedy, że jestem już wolny od narad i zgodnie ze swoją decyzją oddałem tworzenie gabinetu p. Daszyńskiemu. A że wszystkim panom mówiłem o konieczności współpracy i utworzeniu koalicyjnego rządu, dlatego też to polecenie dałem również p. Daszyńskiemu. Nie wiem dlaczego p. Daszyński w swoich pamiętnikach tak starannie opuszcza moją pracę nad utworzeniem rządu, czyniąc fałszerstwo historii i usuwając mnie i moje żądania i pisze, że ja się zdecydowałem na rząd ludowy/str. 329/.

Przy rozmowie z Daszyńskim i niektórymi innymi członkami rządu lubelskiego stwierdziłem, że główną przeszkodą dla rządu koalicyjnego była niemożliwość nawet rozmowy z ND-cją. Na moje usilne nalegania skończyło się możliwością rozmowy z ND-kami, ale tylko poznańskimi. Tymczasem późnym wieczorem czy tegoż dnia, gdy publicznie stało się wiadomem, że Daszyński ma misję tworzenia rządu, czy też nazajutrz potem zgłosił się do mnie niejaki p. dr. Paderewski, znany przedstawiciel ND-cji w Warszawie. Ja leżałem w łóżku, gdyż

miałem gorączkę, przyjąłem więc tego pana w łóżku. Pan ten począł mi mówić o niemożliwości dla ND-cji pracy z p. Daszyńskim, natomiast uważał za możliwe pracę z p. Moraczewskim. Przyczem pomiędzy rozmaitemi argumentami przeciwko p. Daszyńskiemu czynił kilkakrotnie z obleśnym uśmiechem bardzo brzydkie i ubliżające uwagi o p. Daszyńskim. Wreszcie przerwałem te wynurzenia, zbesztając tego pana za podobne traktowanie rzeczy i przerwałem wszelkie z nim rozmowy. Postanowiłem jednak wykozystać tę rozmowę dla usunięcia p. Daszyńskiego, gdyż z jego pracy już dotychczasowej wywnioskowałem, że tworzenie rządu będzie trwać bardzo długo i skończy się, jak zwykle u p. Daszyńskiego, którego przecie znałem, oskarżaniem wszystkich absolutnie, nie wyłączając nawet i mnie.

Dlatego też już nazajutrz rozmówiłem się z p. Moraczewskim, któremu opowiedziałem ze wszystkimi szczegółami rozmowę z p. Paderewskim. Namawiałem usilnie p. Moraczewskiego, ażeby przy tych samych warunkach, jakie stawiałem p. Daszyńskiemu zgodził się na formowanie rządu. P. Moraczewski mi ulegał, twierdził jednak, że zgodzić się może tylko wtedy, gdy p. Daszyński ustąpi sam od oddanej mu misji, rozmawiać zaś z nim o tem absolutnie nie chciał. Spadła więc ta przykra rozmowa na mnie.

Rozmowa z p. Daszyńskim poszła mi znacznie łatwiej, niż przypuszczałem. Sądzę, że p. Daszyński

był już bardzo zniechęcony chłodnym przyjęciem, jakie spotkał w Warszawie, tak że rozmowa mi poszła dość szybko i bez żadnych trudności. Odetchnąłem więc ze znaczną ulgą. Na końcu jednak p. Daszyński postawił mi jedno z najśmieszniejszych wymagań ze wszystkich śmiesznych wymagań, jakie człowiek postawić może, mianowicie zażądał ode mnie, ażebym go zwolnił od misji za jego kontrasygnatą i że- bym wyznaczył p. Moraczewskiego także za jego kontrasygnatą. Zaczął mi przytem tak zawile i z taką mądrą miną przekonywać o konstytucyjnej wartości takiego pierwszego aktu, a p. Moraczewski tak za- cięcie i uporczywie milczał przy tym, że zacząłem się obawiać rozchwiania się tak udatnie zakończo- nej sprawy albo jej odciążenia jeszcze na kil- ^{więc} ka dni. Machnąłem ręką na całą śmieszność, byle sprawę czem prędzej zakończyć. Pamiętam, jak p. Da- szyński z lubością spoglądał na ten akt konstitu- cyjny i powiedział: "no, tak, to dobrze".

Czy p. Daszyński brał udział w utworzeniu rządu p. Moraczewskiego i czy zatem prawdziwemi są sceny, które p. Daszyński opisuje w stosunku do p. Moraczewskiego, - nie wiem, lecz wydaje mi się pewnem, że już nazajutrz p. Daszyński opuścił War- szawę i wyjechał do Krakowa. Dlatego też słowa p. Daszyńskiego na str. 332 "po pięciu dniach pra- cy mogłem Naczelnikowi Państwa przedstawić listę gabinetu" jest zupełnie niesłuszne i nieprawdzi- we, nie mówiąc już o tem, że tytułu Naczelnika Pań- stwa wtedy nie miałem i nikt o takim tytule wte- dy nie mówił.

Nie mogę więc zgodzić się z przypisywaną przez p. Daszyńskiego zasługą że on a nie kto in- ny utworzył pierwszy rząd polski.

UWAGI DO PAMIĘTNIKÓW L. BILIŃSKIEGO.^{1/}

I.

W stosunku do wspomnień i dokumentów ś.p. Leona Bilińskiego nie mogę nie powiedzieć odrazu, że byłem mocno zdziwiony, gdy wziąłem do ręki tom pierwszy. Nie mogę nie pamiętać, że gdy ukazało się pierwszy raz niedługo po śmierci Leona Bilińskiego wydanie jego pamiętników, rzuciłem okiem na nie w tych miejscach, gdzie w końcu wydawnictwa w skolorowidzu z nazwiskami znalazłem 4 razy moje nazwisko. Pamiętam dobrze, co w owym wydaniu o sobie przeczytałem i pamiętam, że sobie postanowiłem poprawić błędy wspomnień w pamiętnikach p. Bilińskiego, w tym zaś wydaniu, które tu omawiam, widzę błędy tak powiększone, z detalami fałszywymi i wręcz zmyślonymi, że nie mogę ich przypisać p. Bilińskiemu, lecz przypisuję je jakiejś niecnej fabrykacji, bałamutnej historii, związanej z moją osobą.

Zastosowałem do wspomnień p. Leona Bilińskiego ten sam system, co do pamiętników p. Daszyńskiego, to znaczy, że łączę swoją pracę jedynie z temi miejscami jego wspomnień, gdzie moje nazwisko jest przytoczone. Natomiast nie wchodzę najzupełniej w żadne wywody, ani sądy p. Bilińskiego we wszystkich innych miejscach jego wspomnień, których ani czytałem, ani prawdopodobnie nie będę

^{1/}Leon Biliński: Pamiętniki i dokumenty.

w stanie przeczytać.

1/. Po raz pierwszy nazwisko moje spotyka się na str. 295 pierwszego tomu, gdzie pan Biliński występując przeciwko generałowi Conradowi, głównemu dowódcy armji austriacko-węgierskiej, pisze "kiedy całe społeczeństwo polskie w Galicji we wszystkich bez wyjątku stronnictwach stanęło po stronie Legionów, kiedy naczelnik tajnej organizacji warszawskiej Józef Piłsudski złożył dobrowolnie tę godność, ażeby swoją organizację ^{wiezawisłą} ~~niepodle-~~ ^{ciową} głościową połączyć z organizacją legionową, - pan gen. Conrad nie przychylił się w swej głównej kwarterze do ustnej prośby prezesa Lea, by Legjony zmuszone łączyć się z armją austro-węgierską, jako część tak zwanego "Landszturmu", mogły do przysięgi wierności cesarzowi dodać wierność Ojczyźnie polskiej".

W tej cytacie nie mogę nie zatrzymać się nad nadaniem mi godności naczelnika tajnej organizacji warszawskiej. Z wrażeń moich to jakieś tajemnicze nazwanie mojej godności w przeciwstawieniu do jawnej organizacji galicyjskiej jest może najbardziej charakterystyczne dla pojęć ówczesnej Galicji. Ignorancja panów galicjan w stosunku do zaboru rosyjskiego przekraczała wszelką wyobrażalną miarę ignorancji. Po raz pierwszy zetknąłem się z tem przy moich stosunkach z N.K.N. i z wielką ilością oficerów polskich, którzy służyli w armji austriacko-węgier-

skiej, a byli oni wszyscy informatorami we wszystkich dowództwach armji austriackiej. Dla charakterystyki przytoczę jedną zabawną rozmowę, którą w samym początku wojny toczyłem z jednym z takich panów. Kiedym, mówiąc o sytuacji w zaborze rosyjskim, wspomniał o Łodzi, jako o Manchesterze polskim i jako o mieście posiadającym więcej, niż pół miliona mieszkańców, pan ten prawie się obraził, twierdząc, że na miano Manchesteru zasługuje Bielsk i Andrychów. Tak wielką była ta ignorancja w geografji, statystyce, w podziale administracyjnym i, co najgorsza, w historii wszystkich części Polski z wyjątkiem swoiście ujętej historii Galicji. Byłem ciągle zdumiony, jak armja austro-węgierska jest słabo przygotowana pod względem znajomości głównego teatru wojny, który miała, to jest zaboru rosyjskiego. Znajomość ta była znajomością kretyną, zupełnie zidjociałego. A, powtarzam, informatorami z urzędu w całej Austrii, byli galicjanie.

2/. Drugi raz w pierwszym tomie nazwisko moje jest wspomniane na str. 299-300. Całe opowiadanie w tem miejscu nie p. Bilińskiego, lecz kogo innego jest zdumiewająco podobne do tego, com czytał w poprzednim wydaniu pamiętników p. Bilińskiego. Jest to tak śmiesznie zmyślona bajeczka w stylu zupełnie zmyślonemi szczegółami, że aż wstyd doprawdy za pamięć o p. Bilińskim, człowieku, doprawdy wyższej miary, którego tak ohydnie i śmiesznie wystawiają po jego śmierci, na zwyczajnego łgarza.

jakiegoś opowiadacza zupełnie fałszywych anegdot.

Więc, przede wszystkim, z p. Bilińskim widziałem się w życiu mojem wyraźnie dwa razy, więc wszystkie opowiadania o jakichkolwiek z nim stosunkach z mojej strony są nieprawdziwe i zmyślane. Pierwszy raz spotkałem się z nim nie na wiosnę 1915 roku, lecz na wiosnę 1916. Z całego roku 1915 byłem w Galicji pierwsze dwa miesiące, t.j. styczeń ~~i luty~~ w Lipnicy Murowanej, niedaleko od frontu, cały zaś koniec stycznia i luty w Kętach pod Oświęcimiem, gdzie stałem w rezerwie dowództwa w armji austriackiej na odpoczynku i reorganizacji i p. Bilińskiego nigdy tam nie widziałem. Drugi raz w tym roku gdzieś w początkach czerwca przejeżdżałem przez Kraków do Cieszyna do głównej kwatery austriackiej armji, gdyż byłem tam wezwany i miałem otrzymać odznaczenie nie gdzie indziej, jak w głównej kwaterze i wtedy po raz pierwszy i ostatni rozmawiałem z generałem Conradem, który mnie przeproszał za zbyt małe odznaczenie i wysunięcie do góry, gdyż moją pracę na froncie cenił bardzo wysoko. Zatrzymywałem się zaś w Krakowie jeden dzień, jadąc do Cieszyna i jeden lub dwa dni, jadąc z powrotem. Pana Bilińskiego i tym razem tam nie widziałem. Miałem zaś rozkaz śpieszenia stamtąd na front jak najbardziej. Cała reszta 1915 roku minęła mi na froncie albo w Królestwie, albo na Wołyniu, gdzie wreszcie przed Bożym Narodzeniem zapadłem na bardzo ciężką gripę.

Już po świętach dostałem dłuższy urlop na odbycie rekonwalescencji, którą odbyłem we Lwowie i pamiętam dobrze, że ostatni dzień mego pobytu we Lwowie był dzień 19-go marca, gdym był w teatrze, urządzonym mi przez miasto w dzień moich imienin z wieczną "Halką". Wyjechałem stamtąd do Cieszyna, gdyż zostałem tam wezwany. Tam rozpocząłem, jak zwykle, stały proces o nielitościwe i stałe szykany zwrócone przeciwko Brygadzie, którą dowodziłem, przyczer^m twierdziłem, że pozostać długo nie będę w stanie w takich warunkach, i że będę zmuszony podać się do dymisji, jeżeli te paskudne warunki nie ustaną. Nie pamiętam, czy te rozmowy trwały jeden, czy dwa razy, gdyż w końcu ogłoszono mi, że zostaną zarządzone poważne zmiany w organizacji Legjonów w duchu moich żądań. Przy końcu zaś pan pułkownik Hranilowić zaproponował mi nagle wolny przejazd do Wiednia. Odmówiłem, dlatego że nie miałem żadnego interesu jeździć do Wiednia. P. Hranilowić zaczął jednak mnie namawiać, tak że byłem tem niezmiernie zdziwiony i wreszcie p. pułkownik powiedział, że dlatego mnie namawia, że może dobrze byłoby i dla mnie, gdybym się zobaczył z Ekscelencją Bilińskim. Zastanawiałem się kilka chwil nad tem, bo była to dla mnie zupełna niespodzianka, po chwili odpowiedziałem, że mogę ~~jeździć~~ pojechać i do Wiednia i p. pułkownik wydał przy mnie zarządzenie o wydanie mi dokumentu podróży do Wiednia. Dotąd zrozumieć nie mogę, co za cel miał pułkow-

nik Hranilowić, tak usilnie namawiając mnie do zobaczenia się z p. Bilińskim.

Po przyjeździe do Wiednia przykomenderowano do mnie nieznanego mi wcale dotąd p. Habichta, który z moim adjutantem Wieniawą układał wszystkie rozmowy, które miały być przeprowadzone. Rozmowa moja z p. Bilińskim trwała nie więcej, jak kwadrans lub dwadzieścia minut. Nie tyczyła się ona żadnej poważnej rzeczy, ani też nie była związana z zagadnieniami jakiegokolwiek, które mnie obchodziły. Ja nie nastawałem na niczem i czekałem cierpliwie co za interes mógł mieć p. Biliński do mnie, sam zaś p. Biliński z jakimś dobrotliwym uśmiechem wyrażał swą radość z powodu zobaczenia mnie, tak sławnego żołnierza i twierdził, że teraz, gdy tyle z moich żądań zostało spełnione, mogę być spokojny że nikt mi teraz żadnej krzywdy nie zrobi, twierdząc, że on zna osobiście bardzo dobrze generała Puchalskiego i że ten jest także bardzo dobry żołnierz i bardzo dobry człowiek. P. Biliński zrobił na mnie wrażenie jednego z bardzo wielu ówczesnych Polaków. O wojsku nie chciał mówić, gdyż zupełnie się na tem nie znał, natomiast Legjon najprawdopodobniej uważał za jakąś głupią zabawkę która biednemu Bilińskiemu jak i wielu innym galicyjskim biednym mężom stanu, robi tylko kłopoty. Rozmowa, niestety nie podtrzymywana mocno przeze mnie zakończyła się bardzo szybko. Nie przypominam sobie ani jednej kwestji, obchodzącej ^{czy} mnie

jako polityka, czy też mnie jako oficera, którąby p. Biliński ze mną poruszył, lub okazał jakiegokolwiek zainteresowanie.

Z pobytu mego w Wiedniu najbardziej zajęła mnie rozmowa jaką miałem na obiedzie u p. Korytowskiego i to nie z p. Korytowskim, który miał ten sam typ, co p. Jaworski i p. Biliński, ale z p. Koźmianem, autorem słynnej niegdyś książki "Rzecz o 63-im roku". Pan Koźmian był zaproszony na ten obiad, gdyż chciał się ze mną poznać. Pytał zaś mnie o stosunki na froncie i o zatarg mój z austriackim wojskiem. Pamiętam dobrze, gdy mu opowiadałem o niezwykle hardym zachowaniu się wszystkich moich podwładnych w stosunku do armii austriackiej jako odpowiedź na ciągłe szykany, stosowane przez nią w stosunku do nas, to gdy p. Korytowski ciągle niespokojnie się oglądał, spoglądając podejrzliwie na drzwi, czy ktokolwiek nie słyszy, to u p. Koźmiana stopniowo zapalały się niebieskie oczy i widać było człowieka, który ongiś przeżył sam wypadki 63-go roku. Zawsze mówiłem, że miałem do czynienia z dwoma pokoleniami: jedno, co umiało walczyć i żyć w wojnie, drugie, które uległo i dobrze się czuło w niewoli.

Wobec tego, com napisał już o widzeniu się z moim z p. Bilińskim w Wiedniu na wiosnę 1916 roku, pozostaje mi tylko ~~tytuł~~ zwyczajne sprostowanie wszystkich fałszów, w skomponowanej bajeczce pomieszczonej o mnie na str. 299 i 300 w pierwszym tomie "Wspomnień" p. Bilińskiego.

Więc: a/ Nigdy żadnej rozmowy z p. Bilińskim nie miałem wspólnie z generałem Puchalskim, żadnej misji mu nie poruczałem do godzenia mnie z Puchalskim.

b/ Po raz pierwszy poznałem p. Bilińskiego na wiosnę 1916 roku i nigdy przedtem nie odwiedzałem go przy Johannesgasse.

c/ Nigdy p. Habicht nie był mnie "bliskim" i nigdy "na konferencji w biurze prezesa Koła" z p. Habichtem nie byłem.

d/ Wszystkie szczegóły zatem z tą konferencją związane, są absolutnie zmyślane.

e/ "Gwoli politykowania" nie byłem, "na drugi dzień" u p. Bilińskiego i nie omawiałem z nim "całej kwestji austro-polskiej nie wyłączając wojskowej".

f/ Cała reszta rozmowy związanej z "komendą niemiecką" i "obroną krajową" jest całkowicie zmyślona, jak i wizyta w hotelu Müllera, którą jakoby składał mi p. Biliński. Wreszcie

g/ Nigdy już w niepodległej Polsce nie byłem na żadnej konferencji ministrów jako Naczelnik Państwa, w której brał udział p. Biliński, jako minister finansów.

II.

W drugim tomie wspomnień p. Bilińskiego cały szereg miejsc, gdzie nazwisko moje jest wspomniane związane jest z różnemi wypadkami, gdzie właściwie moje nazwisko jest użyte dla komplementów pod

moim adresem. Dlatego też te miejsca pomijam. Zatrzymam się na tych tylko, które mają do czynienia z faktami i moją pracą, związaną z p. Bilińskim.

Tak więc na str. 203 i 204 p. Biliński opowiada o objęciu przez niego teki ministra finansów. w Moich wspomnieniach okres ten ministrowania p. Bilińskiego ani rusz mi się nie wiąże z 1919 rokiem, a wiąże się z tym czasem, kiedy się już zupełnie zdecydowałem po zwycięskiej wojnie, więc po minięciu dwudziestego roku opuścić stanowisko Naczelnika Państwa, a wobec tego, że był ministrem krótki tylko czas, więc mogło to być podczas prezydium p. Ponikowskiego, chociaż on się trzymał zawsze z p. Michalskim, albo podczas ministerjum p. Nowaka. Pamiętam dobrze, że któryś z prezesów ministrów zgłosił się do mnie z propozycją wzięcia na ministra finansów p. Bilińskiego. Ja zaś wyraziłem na to zgodę. Miałem wtedy z nim jedną jedyną rozmowę, gdy się p. Biliński przedstawił mnie w Belwederze. W rozmowie tej to pamiętam dobrze, wskazałem mu na jeden punkt. Na mój, zdaniem moim, usunięcia ze wszystkich zakamarków finansowych rubla rosyjskiego, gdyż zdaniem moim, niema on już żadnej wartości. Wskazałem przytem, że napotka on pewno wielkie trudności, gdyż finansowe poglądy ND-ków i ich głównego finansisty p. Władysława Grabskiego idą nie w innym, jak w rublowym kierunku. Poza tem rozmowa, jak słusznie mówi p. Biliński, "wypadła dość blado". Dodam, że później ani razu p. Biliński nie

był u mnie na audjencji ani w parku Belwederskim, ani ja nie byłem z nim nigdy na "ważnych konferencjach ministerjalnych nocnych".

Inne wypadki opisane przez p.Bilińskiego wraz z mojem nazwiskiem nie są mi zupełnie znane i ani rusz przypomnieć sobie nie mogłem, czy kiedykolwiek te sprawy opierały się o mnie. Zatrzymam się tylko więc na jednym tym wypadku, opisanym na str. 321 pod tytułem "Propaganda zagraniczna". Opisuje tam p.Biliński zatarg, jaki miał książę Eustachy Sapieha z p.Daszyńskim w kwestji propagandy zagranicznej. Przytem p.Biliński stawia mnie po stronie p.Daszyńskiego. Mogę zapewnić, że tą sprawą nigdy się nie zajmowałem i dotąd nie zajmuję i dlatego nie wiem nawet, o co tym panom w zatargu chodziło.